

J a r o s ł a w  
**GRZĘDOWICZ**

***WILCZA  
ZAMIEĆ***





**Grzędowicz Jarosław**

**Grzędowicz Jarosław**

**Jarosław Grzędowicz** (ur. 3 maja 1965  
we Wrocławiu) -

polски pisarz fantasy.

Debiutował w roku 1982 opowiadaniem  
*Azyl dla starych*

*pilotów*, zamieszczonym w tygodniku  
"Odgłosy". W tym

samym roku i w tym samym periodyku  
zamięcił utwór

*Twierdza Trzech Studni.*

W 1990 razem z Rafałem A.  
Ziemkiewiczem, Andrzejem

Łaskim, Krzysztofem Sokołowskim i  
Dariuszem

Zientalakiem założył magazyn literacki "Fenix". Od roku

1993 aż do ostatniego numeru czasopisma w 2001 był

jego redaktorem naczelnym. Obecnie jest dziennikarzem

w "Gazecie Polskiej" oraz zajmuje się tłumaczeniem

komiksów. Jego opowiadania publikowane były w

"Nowej Fantastyce", "Feniksie", oraz wielu antologiach

science fiction. W roku 2003 ukazał się

zbiór jego

opowiadań grozy *Księga jesiennych demonów* (Fabryka

Słów), w 2005 pierwszy tom powieści *Pan Lodowego*

*Ogrodu* (Fabryka Słów) (tom drugi w 2007 roku), a w

2006 powieść *Popiół i kurz. Opowieść ze świata*

*Pomiędzy* (Fabryka Słów), która jest kontynuacją

opowiadania *Obol dla Lilith*.

Naleŝy do Stowarzyszenia Pisarzy  
Polskich. Jest męŝem

Mai Lidii Kossakowskiej.

## **Wilcza zamieć**

*Bracia bić i zabijać się będą,*

*Dzieci sióstr rodzonych związki krwi  
kalają,*

*Czasy szaleństwa, bezwstydu,  
cudzołóstwa,*

*Wiek topora, wiek miecza i tarcz  
strzaskanych,*

*Wiek zamieci wilczych, nim świat w*

*przepaść runie.*

*Völuspa – Wieszczba Vólvy*

Atlantyk Północny

Wrzesień 1944

64°27' N 13°11' W

stan morza – 3

wiatr – 4B NNW

Świat zalany ołowiem, pomyślał  
Reinhardt, wciskając się między chrapy  
a kolumnę

peryskopu, by utrzymać równowagę na

chybotliwym pokładzie. Ołowiane  
morze marszczyło się

długimi, gładkimi falami  
przypominającymi fałdy na dywanie.  
Ciężkie, sine niebo wisiało nad

głowami jak nagrobna płyta. Dziób  
okrętu wbijający się w kolejne fale  
również był szary.

Podobnie jak twarz stojącego obok  
Fanghorsta. Marynarz wyglądał jak  
dziwaczny stwór o

lśniącej, czarnej skórze i z oczami  
wystającymi z głowy na dwóch czarnych  
szypułach. Ciekawe,



czy kiedykolwiek zdoła oderwać  
lornetkę od twarzy? Nawet bryzgi piany,  
wykładające się w

odkosach dziobowych i zwieszające jak  
festony ze spychacza sieci, wydawały  
się szare.

Ołowiany świat. Słysząc było tylko  
świst wiatru i dźwięczne, głębokie  
uderzenia fal o zbiorniki

balastowe jak o pustą beczkę.

W szklach widać było dwie szare  
płaszczyzny – ciemniejszą na dole i  
jaśniejszą na górze.

Przecięte nićmi podziałki, nieznośnie

monotonne i puste.

– Wracamy do domu, panie

Oberleutnant? – zapytał Fanghorst. Z tyłu  
mat Zemke

przepatrujący swój kwadrant tylko  
parsknął.

– A gdzie się panu niby tak spieszy? –  
mruknął niewyraźnie Reinhardt,  
przygryzając ustnik

fajki. – Do tych blaszanych baraków i  
fiordów? Tam jest gorzej niż tutaj.

– Trondheim! – zawtórował mu z tyłu  
Zemke, cedząc to słowo jak ordynarne  
przekleństwo. –

Zasrana świńska dziura! Nawet nie ma  
gdzie postawić patyka! Jak pomyślę o  
St. Nazaire...

– W St. Nazaire pewnie już są Tomki i  
ciupciają tę twoją śermenę, aś iskry  
lecą.

– Ma szansę się zrehabilitować –  
dorzucił któryś. – Musi odstawić tylko  
pięć patriotycznych

numerków za kaśdy kolaboracyjny,  
szwabski sztos z tobą.

– Dość rajdania – warknął Reinhardt. –  
Zaraz nadleci jakiś Tomek i zrobi ci  
Trondheim

z dupy!

Jeszcze tego brakowało. Nadciągał  
dyŝurny Temat Numer Jeden. Juŝ i tak  
cały okręt od

przedziału torpedowego po  
maszynownię rozbrzmiewał Tematem  
Numer Jeden. Gówniarze

wyŝywali się w gadaniu. Jeszcze tylko  
brakowało tego na pomoście podczas  
wacht. Moŝna było

dostać kiły od samego słuchania.

Zemke ucichł natychmiast.

Wszyscy wyglądali jak lśniące, czarne

kukły. Zapięci szczelnie w ubrania sztormowe, tak Œeby

poŒmiędzy postawionym kołnierzem uszczelnionym ręcznikiem a okapem zudwestki mieŒciły Œię

tylko okulary lornetek.

Przepatrywać horyzont. Minuta po minucie i stopieñ po stopniu. KaŜda plamka, która pojawi

Œię w tej szarej, ołowianej nicoŒci, to moŒe być cholerny hudson z brzuchem pełnym bomb

głębiniowych.

Albo mewa.

Atlantyk nie należał już do nich. Wilki  
zamieniły się w zwierzynę.

Korba rygla zakręciła się, a potem  
ostrośnie uniesiono właz. Człowiek,  
który stał na drabince,

najwyraźniej uważał, że nie jest  
odpowiednio ubrany na spacer w taką  
pogodę. Boczna fala

łupnęła o kiosk i zasypała ich gradem  
lodowatych kropli.

– Szyfrogram do pana pierwszego  
oficera!

Reinhardt opuścił lornetkę i rozmasował  
zdrętwiałe palce. Odczekał kolejne  
przejście fali,

a potem wystukał fajkę o stalowy  
falochron. Pedantycznie – od  
zawietrznej, Œeby popiół i iskry

poleciały w morze. W Œrodku wszystko  
mu się gotowało. Szyfrogram. Zamiast  
rozkazu powrotu

szyfrogram.

Przeciek nad kolektorami głównego  
zbiornika balastowego, przeciek przy  
oringach lewego

wału Œrubby, brak Œarcia, dwie tony

paliwa, jedna jedyna torpeda w rurze.  
Chrapy biorą wodę.

Wgnieciony cudowny, nowiutki kadłub  
elastyczny. Wylane osiem akumulatorów,  
zbocznikowane jakimiś śmieciami. A oni  
przysyłają szyfrogram. I to jeszcze taki,  
którego nie

może rozłożyć radzik. Chłopak zapewne  
przepuścił już wszystko przez Enigmę i  
zobaczył tylko

słowo „pierwszy oficer”, a potem ciąg  
literowo-cyfrowych bzdur.

Niedobrze. Szyfrogram jest jak nagły  
telegram. Nigdy nic dobrego.



Reinhardt otworzył właz i zszedł na dół,  
starannie stąpając po szczelach.

Rozkosz. Nie trzeba

zjeść na łeb na szyję, nie trzeba  
zdzierać gardła przy zanurzeniu  
alarmowym. Radiowiec stał

obok z depezą w ręku, jak nadgorliwy  
kamerdyner.

Reinhardt rozsznurował taśmy zudwestki  
i zdjął ją z daleka od ciała, a potem  
wziął się za

rozpinanie sztormowego płaszcza.

Zapleśnieję w tej gumie, skórach,  
filcach i wełnach, pomyślał. Tu trzeba

dostępu powietrza.

To nie jest tylko kwestia wody, mydła, ani teŝ wody kolońskiej. Od tygodni nie zdjąłem ubrania.

Gdyby nawet w tej chwili weszła tutaj sama Marlena Dietrich, Marlena otulona tylko

szlafroczkim, miękka, pachnąca i gładka, a potem wślizgnęła się do koi i kiwała na niego

palcem zza zasłonki, nawet by jej nie dotknął. Wstydziłby się. To nie po ludzku.

Najpierw kąpiel. Długa kąpiel. Mydło,

pumeks, proszek do zębów.

I Śyletka, oczywiście. Zgolić tę paskudną, cuchnącą koźlą brodę.

Natrzeć się wodą kolońską.

Potem dopiero moŚna pokazać się kobiecie.

BoŚe, jak tu cuchnie, jęknął w duchu. Do końca Śycia przypuszczalnie nie tknę limburskiego

sera.

Jednak przyszło mu do głowy, Śe nawet najbardziej dojrzały i oślizgły limburger to o wiele za

mało, by odtworzyć niepowtarzalny  
aromat okrętu podwodnego. To duszny,  
słodkawy smród

brudnych ciał, rozkładającego się  
męskiego potu, zwłaszcza tego na  
stopach, zmieszany z ropą,

gumą, kwasem akumulatorowym z zęzy,  
z delikatną nutą pleśni, wymiocin i  
amoniaku. Do tego

resztki aromatu neoprenowego kleju i  
farby. Taki koźło-techniczny odór.

Bosman nazywał to krótko – „mokra  
bździna”.

– Panie pierwszy, radiogram. –

Radiowiec dźgnął powietrze trzymaną w  
dłoni kartką, jakby

chciał wepchnąć mu ją do ust. Pod  
rzadką jak islandzkie porosty,  
niedorozwiniętą bródką widać

było woskową cerę i czerwone  
rumieńce na policzkach. Dzieci. To  
wszystko były dzieci.

Podwodne przedszkole Północnego  
Atlantyku. Zapewne tak samo jak na  
frachtowcach

i w niszczytelach Tomków. Dziecięca  
wojna. Ten tutaj podskakuje już ze  
zniecierpliwienia. „No

i co? No i co? Puchatku?”

– Czekać! – burknął Reinhardt, walcząc z guzikami zdrętwiałymi i przemarzniętymi na kołki

palcami. Zdjął wreszcie cięŜki jak nieszczęście płaszcz i powiesił go na kolumnie peryskopu,

Ŝeby ociekł. Radiowiec uniósł się lekko na palcach, podsuwając znowu swój świstek niczym

lokaj srebrną tacę z poranną pocztą, ale Reinhardt, przysiadłszy na skrzyni z mapami, ściągał

cięŜkie, podbite od środka korkiem i

filcem morskie buty.

– Naprawdę pan sądzi, *Ŝe* nasz dawca  
szczęścia, Oberbefehlshaber der  
Kriegsmarine,

Großadmiral Karl Dönitz, nie wytrzyma,  
zanim zdejmę płaszcz?

Radzik spąsowiał pod swoim złotym  
puchem.

– Taa... – wycedził z zadowoleniem  
Reinhardt, ściągając przez głowę  
wilgotny, sfilcowany

pulower w nieokreślonym, burym  
kolorze. Drogi pulower z lamiej wełny,  
zapinany na zamek

błyskawiczny aŚ po uszy, który jeszcze miesiąc temu był niebieski. – Właśnie tak. Spokojnie i po

kolei. Nie szarpać się i nie miotać. Zawodowo trzeba, panie radio. Kuk! Co się dzieje z kawą, o

którą prosiłem pół godziny temu?

– Się parzy, panie pierwszy.

– Cholerny zwierzak selcerski, gryzie tę kawę zamiast zmielić – burczał Reinhardt. – Gdzie

jest mat z centrali? Co tu się dzieje? Zanieść mi to mokre gówno, jak tylko obcieknie. Rozwiesić



pięknie w maszynowni. Ma być suche  
jak pieprz za pół godziny! Buty teŜ!  
Dawaj pan ten

radiogram.

Nowiutki, jeszcze niedawno nawet  
pachnący farbą i klejami okręt typu XXI  
oferował rozmaite

luksusy, o których na starym U-250 mógł  
tylko pomarzyć. Dwie toalety zamiast  
jednej. Pysznic.

Umywalnia. Niestety, wskutek awarii  
odsalaczy na razie tylko teoretycznie.  
MoŜna się było

wykąpać, ale jedynie w słonej,

pompowanej z za burty wodzie. Jednak  
chyba mniej tu

śmierdziało. Gdyby klimatyzatory lepiej  
działały, może nawet powietrze można  
by uznać za

czyste. Ale najważniejsze, że pierwszy  
oficer dorobił się malusieńkiego  
kantorka – niemalże

prawdziwej kajuty, którą dzielił jedynie  
z czifem. Cudowne. Coś jak kibel w  
wagonie kolejowym

drugiej klasy. Na starym VIIC miał tylko  
koję z zasłonką w przedziale O, jak  
każdy oficer

pokładowy. Teraz z rozkoszą zamknął drzwiczki z udającego drewno arkusza sklejki i mógł

rozkoszować się namiastką samotności.

Natychmiast założył inny pulower oraz tenisówki. Odetchnął ciężko i zabrał się do roboty.

Położył kartę na maleńkim składanym stoliczku i otworzył drewniane pudło z Enigmą.

Wyglądała jak przerośnięta, cudaczna maszyna do pisania. Klnąc pod nosem, Reinhardt

wyszukał w wyłożonych miękką

gniazdach cylindry szyfrujące i założył je na osie. Potem

zamknął oczy, bębniąc palcami po stole, następnie spojrział na kalendarz i w sufit, szukając w

pamięci aktualnych nastaw.

– 2178, teraz kontakty: REGENBOGEN, ULLA 88 NORDPOL – zamruczał pod nosem,

ustawiając oznaczone literami i cyframi pierścienie, a potem przekładając wtyczki do

oznaczonych literowo gniazd. – Szlag by ich trafił, banda błaznów. Komancze w

dupę jechani.

Pisał niewprawnie, kciukami i palcami  
wskazującymi, gryząc wygasłą fajkę i  
cedząc w ustnik

okropne słowa. Stukał powoli,  
potykając się, niczym gminny urzędnik.  
Nie znosił tego. Mieli tu

kalkę, suszki, dziur – kacze i kopiowe  
ołówki. Walizkową maszynę do pisania  
„Torpedo”,

zawierającą czcionkę ze swastyczką, i  
drugą – ze znaczkiem SS. Pływająca  
kancelaria pośrodku

Atlantyku. Kawa się kończyła, chleb

pleśniał, brakowało już aspiryny, ale spinaczy – w Śadnym

wypadku. Porządek musi być. Stary był prawdopodobnie szczęśliwy.

Reinhardt stukał w klawisze, nie patrząc na efekt, tylko zerkając na kartę pełną kodów, Œeby

czegoś nie pomylić.

Dopiero po wszystkim spojrział na kartę z rozszyfrowanym tekstem i zmartwiał.

KAPITÄNLEUTNANT ZUR SEE – to były jedyne sensowne słowa. Resztę stanowił ciąg liter

i cyfr bez żadnego sensu. Potrójny szyfr.  
Naprawdę niedobrze. Zdecydowanie,  
rzeczywiście,

poważnie niedobrze. Nie-pozytywnie.  
Ponuro. Bardzo złota sytuacja.  
Kłopoty.

Zabrał poprzednią kartę i tę nową, po  
czym odsunął drzwiczki i poszedł do  
Starego. Ten też

dorobił się lepszej kajutki w miejsce  
dziupli, którą musiał się zadowalać na  
poprzednim okręcie.

O ile był jakiś poprzedni okręt,  
pomyślał Reinhardt złośliwie. Wszystko  
wskazywało na to, że

jego wódz Śeglował dotąd jedynie na biurku przez oceany paragrafów. Kiedy było już wiadomo,

Śe wchodzą na nowy, oceaniczny XXI, cała załoga była absolutnie pewna, Śe to Reinhardt

dostanie trzeci złoty pasek oraz założy nieprzepisowy, choć tradycyjny, biały pokrowiec na

czapkę. Prawdę powiedziawszy, w głębi serca Reinhardt też był tego pewien.

Niestety. C'est la vie. Skończyło się na kawałku blachy na szyję. Taki fetysz. Coś w rodzaju



kości kazuara do wetknięcia w przegrodę nosa.

– Szyfrogram dla Kaleu – oznajmił Reinhardt i zapukał do kajuty. Na okręcie zapadła grobowa

cisza, która przeniosła się w górę do centrali i w obu kierunkach wzdłuŜ kadłuba jak trujący gaz.

Najpierw szepty: „szyfrogram... kapitański...”, potem zduszone przekleństwa i cisza, jakby zabił

ich tymi trzema słowami.

Stary siedział, oczywiście, przy blacie swojego biurka i skrobał piórem w

zeszycie. Wokół

piętrzyły się papierzyska, pisma i  
kwestionariusze. Ścianę nad koją  
zdobiła wyszyta przez Sonę

makatka. Niebieskim kordonkiem,  
łańcuszkiem, w bardzo pruskim stylu. Z  
pewnością była tam

jakaś patriotyczna, budująca sentencja,  
ale wisiała tak, że nie sposób było  
cokolwiek zobaczyć.

Zakładano się o to. Fenrich Fanghorst  
upierał się, że to z pewnością „Boże,  
skarż Anglię!”.

Natomiast motorzyści ustalili między

sobą, Œe obstawiają „Naprzód, do zwycięstwa!”.

Reinhardt prywatnie sądził, Œe raczej „Jeden Naród, jedna Rzesza, jeden Führer”. I pod tym

wypręŒony hitlerek wśród kwiatków, ptaszków i baranków.

– Słucham, Reinhardt? – Stary uniósł tę swoją bezlitosną twarz belfra od matematyki i spojrział

na Pierwszego przez okulary.

– Szyfrogram trzeciego stopnia, Herr Kaleu – wycedził Reinhardt. – Przyniosłem kartę

i maszynę.

– Proszę postawić na stole i wychodząc, zamknąć za sobą drzwi. Przepisy, Oberleutnant.

– Według rozkazu.

– I... Reinhardt?

– Tak?

– Po co pan wrzeszczy na cały okręt, Œe dostałem szyfrówkę? To budzi tylko niepotrzebne

emocje. Załoga powinna cierpliwie czekać na rozkazy, a nie się dekoncentrować. Ci, którzy nie

mają wachty, mają obowiązek wypoczywać i pozostawać w gotowości.

– Tak jest – durny bucu, dodał w myślach. Zaraz powie coś o odpowiedniej postawie

i Œołnierskim wypoczynku.

– Odmaszerować.

\* \* \*

Reinhardt wcisnął się za stół w mesie O i napotkał cięŜki wzrok czifa, który udawał, Œe czyta

wystrzępione numery „Signala” sprzed

miesiąca.

– Kuk, kawę do mesy, biegiem! –  
krzyknął Pierwszy. – Z cukrem i  
mlekiem! I gorącą jak

piekło!

– Ten interes już się kończy – stwierdził  
czif, składając starannie pismo.

– A skąd to taki brak ducha? Dostał pan  
nowy, cudowny okręt, perłę niemieckiej  
myśli

technicznej, i jeszcze przed  
podwieczorkiem zaczyna pan wątpić w  
zwycięstwo?

– Jak pan opalał się w ogródku na tarasie, dostaliśmy dwa „trzygwiazdkowe” meldunki.

– Kto?

– U-489 i U-88.

– To pewne?

– Ten sam konwój, który zrąbał nam dupę. I jeszcze samoloty.

– 489 to chyba Hagenstoss, a ten drugi?

– Korbatschek.

– Nie znałem. To jakiś nowy. Ale na 489 pływał Vogelmann. Cholera,

niemoŝliwe.

Vogelmann?! Znałem go jeszcze ze Szkoły Marynarki. Słuŝyliŝmy razem na „Scharnhorŝcie”...

– Dwa jednego dnia! Wyobraŝa pan sobie coŝ takiego jeszcze dwa lata temu? Tak, panowie

z konkurencji robią siê coraz sprawniejsi. W tym tygodniu to juŝ bêdzie...

– Dziesieć okrêtów. Jeszcze dwa i tuzin. Cała paczka. Powinniŝmy im dorzucić coŝ

w promocji.



– Taa. Kupują już hurtowo.

– I wcale tanio. Ile zarobiliśmy na całej tej awanturze?

– My jeden i Stimmt jednego, do kupy jakieś sześć tysięcy ton.

– Ale trofea! Zaczynamy już strzelać kutry jakieś.

W przejściu obok mesy zrobiło się ciasno. Zmiana wachty na kiosku.

Wszyscy w skórze i

cuchnących sztormiakach, już z ręcznikami wokół szyi i z zudwestkami w ręku.

– Zmiana. Nareszcie coś zjemy –  
ucieszył się Reinhardt. – Stołowy,  
dlaczego dostaję kawę

w tym blaszanym świństwie? Nie ma już  
filii?

– Wytłukły się – wycedził ponuro  
marynarz. – Podczas nalotu, melduję  
posłusznie. Może bym

znalazł, ale kuk mówił, że się panu  
spiesz.

– Spiesz?! Prosiłem o tę kawę godzinę  
temu! Co się wyprawia na tym okręcie?

– Co pan z nim gada – zauważył czif. –  
Wołaj pan od razu oberkelnera. Albo

lepiej kierownika

sali!

Reinhardt ledwo zdążył dźgnąć  
widelcem parującą papkę z puszkowej  
kaszanki z cebulą

i octową sałatkę z ziemniaków, gdy  
usłyszał dolatujące z mesy PO  
komentarze:

- Przecież to śmierdzi gównem! Z  
puszki ta kaszanka?
- Nie, z twojej babci.
- Och, zamknij się! Zastrane głupoty!

– Pierwszy do kapitana! – zabrzmiało gromko z centrali.

– Scheiße! – powiedział Reinhardt.

– Na wieki wieków, amen – dodał czip uroczyście.

\* \* \*

– Otrzymaliśmy drugą szansę – oznajmił kapitan, patrząc na Reinhardta.

Czyli urodzimy się po raz drugi?! W Kanadzie?! – przemknęło tamtemu przez głowę, ale

milczał cierpliwie. Wobec Kapitänleutnanta zur See Waltera Rittera

Ŝadne Ŝarciki nie wchodziły

w ogóle w rachubę.

– Dobrze pan wie, jakie to szczęście.  
Otrzymaliśmy doskonały okręt, prosto ze  
stoczni,

i zamiast rozbić konwój zawiedliśmy.

Rozbić konwój jednym okrętem, ty  
patentowany koźle?! – ryczał w myślach  
Reinhardt.

Prawie Ŝe eksperymentalnym i  
skomplikowanym jak cholera? Na  
którym połowa tych

cudownych patentów w ogóle nie chce

działać?! Z bandą dzieciaków, która jeszcze niczego się

nie nauczyła? Po tygodniowym rejsie szkolnym wzdłuŜ Norwegii? Z psującą się instalacją?

Czterema uszkodzonymi torpedami? Z przeciekającym balastem?! Tamci mieli ASDIC, który

wykrywał ich, jak chciał, mieli te straszne nowe wyrzutnie, które kładły cały dywan bomb

głębinowych jedną serią, mieli nawet oryginalną Enigmę, mieli te przeklęte elektronowe

maszyny liczące, które łamały każdy  
szyfr. Mieli dziesiątki niszczycieli,  
niebo pełne samolotów,

a my nie mieliśmy nawet dosyć paliwa,  
ty bałwanie! Zatopili dziesięciu w tym  
tygodniu, świński

psie! Dziesięciu tylko w rejonie  
Lofotów!

– Tak. Zawiedliśmy. Wiem, co pan  
powie: jeden frachtowiec. Ale co to jest  
jeden frachtowiec,

jeśli przepuściliśmy ich dziesiątki?  
Naród odjął sobie od ust śywność.  
Spaliliśmy paliwo, o

którym nasi towarzysze w czołgach  
marzą po nocach. I w zamian co dajemy  
Führerowi? Jeden

maleńki frachtowiec!

„Marysia mała pierdolca miała” –  
zaśpiewało w głowie Pierwszego. –  
„Pierdolca jasnego jak

śnieg...”

– Dlatego jestem szczęśliwy z naszych  
nowych rozkazów. Wyznaczono nam  
spotkanie na

pełnym morzu ze statkiem  
zaopatrzeniowym „Oxfolt”.



„Gdziekolwiek biegła Marysia mała...”

– Tam otrzymamy zaopatrzenie, paliwo, nawet części do naprawienia tych wydumanych,

mazgajskich uszkodzeń oraz dalsze rozkazy. Wracamy do akcji!

„Pierdolec rozsadzał jej łeb”. (Oklaski)

– Czy zna pan dokładną pozycję, panie Oberleutnant?

– Ze zliczenia, panie kapitanie.

– Co to znaczy?

Nie wiesz, co to jest zliczona pozycja,

pruski, kapustoŚerny bawole?

– Ostatni namiar braliŚmy w nocy poprzedzającej atak. Potem pływeliŚmy w zanurzeniu,

częściowo klucząc pod bombami, potem po wynurzeniu znaleźliŚmy się we mgle, równieŚ dzisiaj

ze względu na brak widoczności słońca nie moŚna było potwierdzić namiarów. Znamy pozycję z

analizy kursowej i...

– MoŚe pan wyznaczyć kurs do podanej pozycji? Tutaj?

Reinhardt spojrział na kartkę.

– Oczywiście.

– Więc proszę to zrobić. Musimy zdążyć na jutro na czwartą rano. Da pan radę?

– Sądzę, że tak. Mogę potwierdzić to po konsultacji z pierwszym mechanikiem.

– Proszę go przysłać.

– Herr Kaleu... Proszę o pozwolenie przekazania krótkiego komunikatu załodze.

– Wie pan, że jestem temu przeciwny. Służownik ma stulić pysk i słuchać, a nie politykować.

Zaraz się zaczyną dyskusje.

– Jednak serdecznie doradzam. Wiem z doświadczenia, Œe ludzie lepiej pracuj, kiedy wiedz,

o co chodzi. Spodziewali si powrotu do portu. Powinni si zmobilizowa.

– Dobrze, skoro si pan upiera. Ale krtko i rzeczowo. I Œadnych dyskusji.

\* \* \*

Obiad by juŒ niemal zimny, co gorsza, drugi oficer wymiesza swoj porcj z musztard,

produkujc coŒ takiego, na co w ogle

nie dało się patrzeć. Wyglądało jak  
rzadka zawartość

pieluchy.

– Czifie, ma pan iść do zarządu.  
Natychmiast.

– Scheifie! – warknął czif i wypił  
duszką resztę herbaty.

– Na wieki wieków.

\* \* \*

Stali nad stołem nakresowym, patrząc na  
mapę przykrytą pełnym oznaczeń  
arkuszem

celuloide. Czif ogryzał w milczeniu koniec ołówka. Na czole pogłębiała mu się pionowa

zmarszczka będąca wyrazem zwątpienia.

– To tylko głupie dwieście mil – zachęcił go Reinhardt. – No, powiedzŚe pan coś. Co pana tak

martwi, czifie?

– W kolejności? Najpierw te rozchrzanione baterie. Nie ma mowy o przejściu tego w

zanurzeniu na czas. Na wierzchu nadziejemy się na samolot, zanim zdąŜy pan powiedzieć

mamma mia!.

– Dlatego pójdziemy na peryskopowej.  
PrzecieŜ ma pan cudowny wynalazek –  
te chrapy.

Wystawimy je i pojedziemy pięknie na  
dieslach.

– Te słynne chrapy teŜ mnie martwią.  
Potrzepało je. Pamięta pan te bliskie  
bomby nad

kioskiem, a potem przechył? Teraz cały  
czas biorą wodę. Dławiki się blokują.  
Jak mi się ta woda

dostanie do oleju... – Pokręcił głową. –  
ŁoŜyska cały czas hałasują, wał się

grzeje, jeszcze te

oringi... To najmniejszy problem.  
Przeciek usuniemy pompą zęzową do  
zbiornika

wyrównawczego i za burtę. Trym się  
utrzyma jako tako. Kwas juŜ kazałem  
zneutralizować,

wypompujemy hurtem.

– A paliwo?

– To jest główny problem. Cały czas  
gubimy. DuŜo mniej niŜ przedtem i  
nawet wiem juŜ,

którędy. Uszczelniliśmy jak się dało, ale



środkami pokładowymi... – Znowu powątpiewający gest

głową. – Altenberg tłucze w chrapy i moŜe coś z tego będzie. Dojść dojdziemy. Martwi mnie co

innego. To nie jest miła okolica.

– Wiem – przyznał Reinhardt. – Jeszcze ta cisza radiowa...

– Przypuśćmy, Ŝe dojdziemy tylko po to, Ŝeby dowiedzieć się, Ŝe tego mitycznego „Oxfolta”

kupiła juŜ konkurencja. Co wtedy?

Reinhardt pokiwał głową.

– Do Trondheim na wiosłach.

\* \* \*

Dopóki było jasno, Reinhardt siedział za peryskopem, kręcąc się jak na karuzeli.

Lewo, prawo,

unosił głowicę wyżej – na krótko, żeby  
zerknąć między falami – i z powrotem  
nisko, tuż nad

wodę.

Należało się spodziewać niszczycieli,  
dozorowców, nawet ścigaczy.

Kilka razy minęli maszt na horyzoncie,  
sterczący pomiędzy falami jak odległa

tyczka do

grochu.

Co jakiś czas akustyk unosił głowę,  
przytrzymując palcem słuchawki.

– Szumy śrub z SW, daleko. Oddalają  
się. Chyba niszczyciel.

Reszta załogi wolnej wachty siedziała w  
kojach. Nie bardzo nawet rozmawiano.  
W dziobowym

torpedyści bez przekonania grali w  
skata, ale raczej dla zmanifestowania,  
Śe mają wszystko

gdzieś.

Ritter się nie naprzykrzał. Siedział w swoim kantorku i wypisywał niekończące się

sprawozdania. Ze zużycia torped, zapotrzebowania na części zamienne, protokoły awaryjne.

„Mam mnóstwo pracy. Poradzi pan sobie?”.

„Na wojnie najważniejsza jest sprawozdawczość. Bez tego nie ma porządku”.

Z kolei czif nie wychodził z maszynowni, obserwując z troską swoje diesle, sprawdzał co

chwila smarowanie i z marsem na czole  
spoglądał na wskaźniki temperatury i  
obrotów, i patrzył

na lśniące osie wałów.

Łośyska wału grzechotały, ale się  
kręciły. Co dziesięć minut włączali na  
chwilę pompę

zeczową, usuwając to, co naciurkało  
przez różne nieszczelności.

Jakoś płynęli.

Pod wieczór Reinhardt zszedł z centrali,  
nakazawszy utrzymywać nasłuch  
radiowy

i akustyczny, i usiadł w mesie, Œeby napić się herbaty. Trochę liczył na to, Œe będzie pusta.

Rzadko się to zdarzało, ale na XXI i tak było luźno. Przynajmniej w porównaniu z tym, co się

działo na poprzednich okrętach.

Niestety, w samym kącie siedział lekarz okrętowy, ponury

Austriak, który, zdaniem Reinhardta, był słabo zaleczonym alkoholikiem, i Ritter. Lekarz

usiłował czytać postrzępiony kryminał, a kapitan patrzył nieruchomo w grodz, splótszy palce na

blacie stołu. Zawsze tak było. Siedział i gapił się przed siebie. Nigdy nie czytał, nie bardzo

rozmawiał, jadał teŜ zawsze na osobności. Reinhardt przez całe Ŝycie nie spotkał drugiego

takiego sztywniaka. Ritter zawsze, w dzień czy w nocy, był tak oficjalny, Ŝe aŜ nieprawdziwy.

Do tego wszystko, nawet najpotworniejsze propagandowe brednie, które oficerowie czytali sobie

nawzajem, rycząc ze śmiechu, traktował absolutnie serio. Nie dało się nawet ustalić, czy jest taki

głupi, czy tylko udaje.

Kiedyś Reinhardt usiłował zgadnąć, jak stary jest Stary. Od lat na okręcie podwodnym oficer,

który przekroczył trzydziestkę, uważany był za wiekowego. Sam Reinhardt, który miał

trzydzieści pięć – sam środek Conradowej „smugi cienia” tu-tu, na wyciągnięcie ręki –

uchodził za jakiegoś matuzalema. Marynarze mieli i po dziewiętnaście lat. Ale Ritter wyglądał na

co najmniej pięćdziesiąt. Skąd się



wziął? Skąd przybył i dokąd zmierzał?  
Nie wiadomo.

Gdyby słuŝył na U-Bootach, Reinhardt powinien go znać. Sam był jednym z ostatnich „asów

wilczych stad”. Słuŝył od mata do Pierwszego.

– Panie pierwszy?

Reinhardt drgnął i oderwał wzrok od kubka z herbatą. Niechętnie. Podnieść oczy w tej chwili

oznaczało patrzeć na martwą, belferską fizjonomię kapitana, a gdyby zerknąć jeszcze wyŝej,

nieuchronnie spoglądało się na wiszącą  
na grodzi, oprawioną w szkło fotografię  
Gröfaza. Na

innych okrętach w mesie wisiały  
portrety egzotycznych piękności, jakieś  
alpejskie widoczki albo

fregaty pod Şaglami czy tropikalne  
wyspy. Tutaj gapił ci się w talerz  
Największy Wódz Wszech

Czasów ze swoim kretyńskim wąsikiem  
i wbitą na oczy, zbyt duŞą czapką. Obok  
smutnym

wzrokiem głodnej małpki patrzył Dönitz  
z odstającymi na boki uszami. To  
stanowczo odbierało

apetyt.

– Kiedy znajdziemy się na pozycji „Oxfolta”?

– Godzinę przed czasem, jeśli nie będzie kłopotów.

– Proszę przygotować listę członków załogi, którzy mogą zejść z okrętu.

– Słucham?!

– To dalszy ciąg rozkazu, którego szczegółów nie musi pan znać. Proszę opróżnić z ludzi dwa

przedziały dziobowe. Zabierzemy kilka osób, które zamieszkają w przedziale

torpedowym.

Płyniemy dalej ze szkieletową załogą.  
Trzeba zostawić co najmniej piętnaście,  
a najlepiej

dwadzieścia osób. Zejdą na „Oxfolta” i  
wrócą z nim do bazy.

– Herr Kaleu, to wyklucza prowadzenie  
boju zaczepnego. I tak okręt nie jest  
obsadzony. Bez

torpedystów...

– Nie będziemy prowadzić działań  
zaczepnych. Nasze zadanie będzie inne.  
Musi pan wiedzieć

tylko tyle, Œe załoga ma być jak  
najmniejsza i Œe na pokład wejdzie kilka  
osób. Będą traktowane

jak pasaŒerowie specjalni.

– Ilu?

– Mniej niŒ dziesięciu, ale muszą mieć  
odpowiednio duŒo miejsca i będą  
przewozić teŒ

ładunek. Kilka duŒych skrzyń. – Kapitan  
uniósł się i przecisnął obok stołu.

– I, Reinhardt...

– Tak?

– Na okręcie mają zostać tylko prawdziwi Aryjczycy.

– Słucham?!

– Słyszał pan. Pan ich lepiej zna. Rozkazy są jasne. śadnej skaŚonej krwi. śadnych

mieszkańców, Mischlingów, jestem pewien, Śe co najmniej kilku to w jednej czwartej Słowianie,

śydzki albo jeszcze jakieś inne bydło. Ma pan oczyścić okręt i nie dyskutować. Co to jest, na

przykład, za nazwisko: „Boditschek”?

Nie wiadomo, skąd przysłała mu do głowy obłądana myśl, by odpowiedzieć: „To nazwisko

Boditschka, Herr Kaleu”, ale zmilczał.

– To Sudettendeutsch, kapitanie. Z Marianenbadu.

– Wszystko jedno. Będę u siebie. Proszę kazać podać mi tam kolację o dziewiątej.

Kiedy Ritter zasunął drzwi, Reinhardt wezwał bosmana.

– Dwudziestu ludzi to wszystko, na co możemy sobie pozwolić – powiedział. – Zostaw pan

tylu, ilu się da. Proszę wybrać do spisania z pokładu przede wszystkim Sonatych, szczególnie od

niedawna, i tych, co mają jakieś dzieci, o których wiedzą. No i takich, którzy są do niczego.

Głupi albo wypaleni, albo ze zszarganymi nerwami. Muszę mieć jakąś załogę pokładową, muszę

mieć motorzystów i palaczy. Na tej luksusowej trumnie co rusz wszystko się psuje. I muszę mieć

artylerzystów. Może pan oddać część „lordów”. Proszę przyjąć, że będziemy w takim razie robić



trzy wachty zamiast czterech.

– Zrobi się – powiedział bosman,  
drapiąc się pod czarną furaŝerką, która  
siedziała na jego

wielkiej, łysej głowie niczym zawiązek  
na ziarnie bobu. – Spiszemy Houdiniego,

Głuchokrzykacza i Himmericha, i... Utter  
się oŝenił, i...

– Niech pan zrobi listę i przygotuje im  
karty urlopowe. Nie muszę tego w tej  
chwili wiedzieć.

Przecieŝ nie będę się ŝegnał z kaŝdym z  
osobna.

Potem poszedł siedzieć w centrali, ale po godzinie machnął ręką. Sternik sterował, akustyk

nasłuchiwał, gdzieś dookoła pojawiały się czasem okręty, ale raczej daleko.

– ASDIC-ów to się pan Oberleutnant może nie obawiać – mówił pierwszy sternik. – Oni mogą

namierzać tylko do dwunastu węzłów, a my robimy teraz czternaście. Za szybko idziemy.

Robimy czternaście węzłów. Jeśli będą chcieli nas gonić, to stracą namiar. Chrap na radarze też

nie zobaczą, bo za duŜa fala. W razie czego sprawdzimy, jak działa ta... niby... buna, co to niby

pochłania ultradźwięki i radar, i wszystko. Ta dzidzia jednak zupełnie nieźle chodzi. Pan się

połoŜy, panie pierwszy. Od wczoraj pan na nogach. Gdyby co, będziemy budzić.

Reinhardt podrapał się w głowę, a potem postanowił rzeczywiście zejść na dół. Dla spokoju

sumienia poszedł jeszcze zobaczyć, co się dzieje w maszynowni.

Potem zjadł kolację, mimo Őe nie miał

apetytu. Wmuszał w siebie chleb, suchą kielbasę

i sardynki, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. W świecie niedobrych podejrzeń.

PasaŜerowie, ładunek, potrójny szyfrogram...

Rejs do Ameryki, BoŜe uchowaj? Z ładunkiem szpiegów albo dywersantów?

Raczej nie chodzi o to odwieczne idée fixe z rejssem do amerykańskiego wybrzeŜa

i zatapianiem im statków w portach, bo kazali oddać torpedystów. A zatem

szpiedzy.

Dlaczego nie?

To chyba lepsze niż samobójcze ataki na konwoje. „Znaleźć! Zatopić! Zawsze naprzód! Jak

Blucher pod Katzbach!” . Ach, bzdury. I lanie za każdym razem. Czif miał rację. Ten interes już

się kończył. Każdy mógł to jasno zobaczyć, gdyby tylko miał olej w głowie. Kiedy zaczynamy

tracić, to trzeba wstawać od stołu. A to właśnie oznaczała utrata Afryki, Włoch, Normandii,

Rosji, Grecji, Polski... Patrzyć tylko, jak będziemy się bić o stację S-Bahnu w Berlinie. KaŜdy to

widział, tylko nie ci durnie. A te konwoje? Atakując konwoje, Reinhardt czuł się teraz jak pies

szczekający na pociąg, a nie straszliwy wilk Atlantyku.

Wlazł do swojej kajutki i połoŜył się.

\* \* \*

Nie miał pojęcia, co go zbudziło. Łoskot powietrza szasującego balasty? Tupot nóg? Czy

dopiero blaszane „czszwuum!” fal  
tłukących o kiosk. Zerwał się na nogi.

– Co się dzieje?! Meldunki!

– Trochę się przejaśniło, na chwilę.  
Okazja gwiazdy strzelać, panie  
pierwszy. Drugi oficer

poszedł z sekstansem na pomost.  
Będziemy mieli pozycję.

Reinhardt rozmasował zdrętwiałe  
policzki i powieki, jakby chciał  
wepchnąć do środka oczy.

Póki się nie kładł, jakoś to jechało. Po  
trzech godzinach snu czuł się po prostu  
chory.

Wsunął nogi w grubych, sfilcowanych skarpetach w buty i namacał wiszącą na grodzi ciężką,

skórzaną kurtkę podbitą filcem. Znalazł jeszcze wełnianą czapkę i poczłapał do centrali.

– Jeden na pomost?

– MoŜna!

Zdał tylko postawić nogę na szczeblach drabinki.

Wszystko wydarzyło się naraz.

Najpierw operator radiolokatora wrzasnął:



– Lotnik! Nadchodzi! Kierunek  
dwieście! Osiem mil!

Równocześnie rozległ się wrzask:  
„Alarm!”. Drugi oficer zjechał mu po  
poręczach zejściówki

prosto na głowę, za nim mat z centrali.  
Jazgot dzwonka zlał się z krzykiem  
zbierającego się z

pokładu centrali Reinhardta.

– Zanurzenie alarmowe!

Mat wisiał już na korbie rygla i zamykał  
właz, woda waliła z góry jak z  
wodospadu.

– Cała naprzód! Sternik – ostro w prawo! Ster dwieście! Wszyscy na dziób! – wrzeszczał

Reinhardt.

Okręt przechylił się wyraźnie na dziób. Otworzyła się jakaś szafka, coś wywróciło się

z hukiem i potoczyło po podłodze. W mesie O z brzękiem posypały się jakieś naczynia. Okręt

klasy XXI umiał wejść awaryjnie pod wodę w osiem sekund.

Słysząc było, jak syczy powietrze wypychane ze zbiorników, skrzypi i

jęczy kadłub, jak

brzęczą silniki elektryczne. Okręt  
pochylił się na burtę, wykonując  
najciaśniejszy z możliwych

skręt. Prosto pod nadlatujący samolot.  
Tak jest najbezpieczniej. Skrócić  
dystans.

Niech hamuje, niech robi zwroty, niech  
wyrzuci go poza obszar ataku.

– Poszły dwie – oznajmił akustyk  
uroczystym tonem. Wszyscy przysiedli  
odruchowo,

chowając głowy w ramionach.

Reinhardt przytrzymał się tylko barierki.

Zapadła cisza.

Widzieli je. Na wewnętrznej stronie zaciśniętych powiek. Tak wyraźnie, jakby każdemu

otworzyło się trzecie oko. Dwa obłe, lśniące kształty, które wbijają się coraz głębiej w

atramentowoczną wodę, ciągnąc warkocze fosforyzujących bąbelków powietrza. A potem

zamieniają się w upiorne, małe słońca i rozdierają toń pęcherzami zgazowanej wody.

Pierwsza eksplozja spadła nagle, jak

uderzenie topora. Przerażliwy łomot,  
światło zamigotało,

ktoś wrzasnął.

– Spokój! – ryknął oburzony Reinhardt.

– PrzecieŜ to nic nie jest! Kompletne  
pudło!

– Przeciek pod kolektorem szasu  
awaryjnego!

Kolejny grzmot. Okręt przebiegły fale  
wibracji, potem wstrząs, słychać było  
grzechot, z jakim

podrzuciło podłogowe gretingi. Zapadła  
ciemność.

– Przedział maszynowy daje wodę!

– Bez hysterii! Jak tak można! Zapłonęło niebieskie światło awaryjne.

– No i tyle – oznajmił Reinhardt. – O co tyle wrzasku? Rąbnął w pianę pozanurzeniową. Po

najmniejszej linii oporu. Zejść na sto osiemdziesiąt. Kurs sto dwadzieścia. Panie Wichtelmann,

dlaczego stanowiska oerlikonów nie były obsadzone? Mogliśmy zdjąć tego drania.

– Kazałem wynurzyć tylko na chwilę, Herr Oberleutnant – tłumaczył drugi

oficer. – Tylko

Ŝeby zdjąć namiary.

– I wystarczyło – skonstatował  
Reinhardt. – JuŜ nie moŜemy nawet  
pokazać głowy na tym

morzu? AŜ niewiarygodne, co za pech.  
Wziął pan te namiary przynajmniej?

– ZdaŜyłem.

– Zostaniemy pod wodą jeszcze pół  
godziny. Potem wrócić na peryskopową  
i przejść na

diesle.

– Ale jakim cudem w nocy? Przecież nie mógł nas zobaczyć! – indyczył się ktoś w przedziale

podoficerskim.

– Człowieku! Oni od dawna mają radary w samolotach! Nie do wiary, jak można być takim

wołem! Zajrzyj sobie w dupę i zobacz, czy tam jeszcze jesteś!

– Reinhardt, co się dzieje? Proszę o meldunek. – Ritter otworzył drzwi i wkroczył mężnie na

plac boju. Brzęknęły bezpieczniki i znów zapłonęło światło.



Pierwszy westchnął.

\* \* \*

Na miejsce dotarli następnego dnia o drugiej w nocy. Reinhardt kazał zastopować maszyny

i stanęli w dryfie. Wysunęli peryskop, ale morze wokół było zupełnie puste. Przypadkowy

kwadrat północnego Atlantyku, oznaczony na mapach czteroliterowym kodem.

Niczego tu nie było. Ani statku zaopatrzeniowego, ani Royal Navy, ani nawet mew.

– Czifie, jak z paliwem?

– Niedobrze. Do domu na pewno nie wystarczy.

– Radionamiernik, pytam namiary?

– Nic, panie pierwszy.

– Akustyk?

– Nic.

– Czekamy – oznajmił Reinhardt. Splótł dłonie na dźwigniach peryskopu i oparł głowę

o kolumnę. – Kuk, proszę o kawę!

– Oczywiście, Œe będa – oznajmił kapitan ostrym głosem. – Niech pan nie rozsiewa defetyzmu!

\* \* \*

Jakieś dwie godziny później Reinhardt polecił wynurzyć okręt i opływać powoli sektor. Sam

wyszedł na górę i kazał sobie dać lampę sygnalizacyjną Aldissa.

Silniki mruczały.

Kapitan siedział oparty o pluszową kanapę w mesie ze szklanym wzrokiem wbitym w grodz

i kontemplował nicość. Lekarz  
apatycznie tasował wyświechtane karty.  
Bez końca. Okręt

zamienił się w gigantyczną poczekalnię  
gabinetu dentystycznego.

Wszyscy siedzieli na kojach albo w  
mesach i milczeli. Mniej więcej co  
dziesięć sekund ktoś

spoglądał na ścienny zegar elektryczny.  
Niektórzy kładli się spać przepełnieni  
Ŝołnierskim

fatalizmem. Wiadomo, Ŝe niczego na  
wojnie nie da się przegapić. Obudzą.  
Póki się da, trzeba

spać. A co ma być, to będzie.

Dlatego skrzypięcie włazu i kanonada  
Śwawych wrzasków Reinhardta  
podziały jak

wybuch granatu w zamkniętej  
przestrzeni.

– Mała naprzód! Ster trzydzieści pięć!  
Załoga pokładowa na górę! Szykować  
okręt do

cumowania! Biegiem! Obsada artylerii  
na stanowiska! Przygotować luki  
załadunkowe!

Szykować cumy! Wysunąć polery!  
Ruszać się, ludzie! – Po czym

normalnym głosem do centrali:

– A ten radionamiernik to se pan w dupę wsadź!

\* \* \*

Statek zaopatrzeniowy „Oxfolt” okazał się przebudowanym rudowęglowcem, całym

w resztkach zielonej farby i rdzawych zaciekach, nie wiedzieć dlaczego, kryjącym się za

szwedzką banderą. Tak jakby ktokolwiek mógł uwierzyć, że te górne pokłady najeżone bronią

przeciwlotniczą naleŝą do neutralnego statku.

Wszystko odbywało się po ciemku i wydawało się trochę nierzeczywiste. Krzyki marynarzy,

rzędy wielkich odbijaczy zwieszane między burtami niczym gigantyczne kiełbasy, worki

prowiantu spuszczone z góry do luków załadunkowych, torpedy kołyszące się na Ŝurawikach,

karbowany, gruby wąż dystrybutora ropy zwieszający się nad rufą jak dziwaczna pępowina.

Niebo siniało.

Przy zbiorniku balastowym słychać było syk spawarek i pomimo ochronnych ekranów

rozbłyski i pęki iskier musiały być widoczne na wiele mil. Wewnątrz okrętu zostawiono tylko

słabe, czerwone światło. Załoga miotła się po pokładach, marynarze z naręczami bochenków

chleba i kręgami serów włączili w drogę tym, którzy wymieniali akumulatory albo nieśli elementy

instalacji. Chaos. Cziś ciskał się między



nimi jak oszalały szaman Papuasów i kierował

naprawami.

Reinhardt i kapitan weszli po drabince na pokład „Oxfolta”.

Okręt podwodny nowej generacji mógł wydawać się luksusowy, ale tylko podwodniakom.

Tutaj pod nogami ścielił się kokosowy, czerwony dywan, ostre światło biło w oczy, w mesie

kapitańskiej wśród eleganckich mahoniowych mebli pysznił się nakryty białym obrusem stół

zastawiony jak na św. Marcina, były  
półmiski kielbas, pieczone gęsi,  
pasztety, spienione, zimne

piwo w szklanych kufiach. Płomyki  
świec odbijały się w kryształach.

Stali w salonie jak dwóch  
oszołomionych wędrownych dziadów.  
Ritter w swoim popękkanym i

wyszmelcowanym skórzanym płaszczu,  
Reinhardt w ciężkich pokładowych  
butach i cuchnącej

smarem, pokrytej zaciekami soli kurtce,  
obaj zarośnięci, brudni i bladzi. Obaj  
mrużyli oczy jak

wykopane na polu krety.

Kapitan „Oxfolta” i jego świta  
wyglądali z kolei, jakby urwali się z  
opery. Czarne mundury,

śnieŜnobiałe koszule, lśniące złotem  
paski na mankietach, ordery  
wypucowane sidolem do

połysku.

Zapach cygar i wody kolońskiej.

Huknęli obcasami, pręŜąc ręce w  
salucie. Ritter ochoczo dźgnął dłonią,  
jakby chciał wydłubać

komuś oko, Reinhardt wykonał tylko

nieokreślony gest przypominający coś pomiędzy

pośegnięciem ciotki na peronie a próbą odwieszenia kapelusza.

– Panowie, czym chata bogata...

– Nasi morscy bohaterowie...

– Rycerze podwodnej bitwy...

– Wilki Atlantyku...

– Prosit!

Głosy mieszały się w zgiełku. Kapitan pozwolił się zaprowadzić do stołu. W tej chwili tak

bardzo przypominał złachmanionego  
nauczyciela matematyki jak to tylko  
możliwe. Na okręcie

wydawało się, że jest schludny. śadnych  
cywilnych łachów, śadnej brody.  
Codziennie drapał

szczękę śyletką, kazał sobie czyścić  
szczotką mundur. A teraz wystarczyło  
trochę światła i czar

pryskał. Pojawiały się wyświecone  
mankiety, postrzępione dystynkcje,  
jakieś odbarwienia, plamy

i zacieki. Do tego śóltawa cera, jak po  
cięskiej chorobie.

Kiedyś Reinhardt dąsał się na takie  
cyrki, przewracał oczami na toasty,  
uprzejmi odmawiał

prezentów i heroicznie wynosił co się  
dało załodze, po czym uciekał na okręt.  
Teraz już

zmądrzał. Wiedział, że później i tak  
ocean zamknie mu się nad głową, a on  
będzie siedział w

stalowej rurze i tęsknie wspominał  
każdego papierosa i każdą lampkę  
koniaku, których odmówił.

Pozwalał się więc rozpieszczać,  
poklepywać po plecach, przyjmował  
cygara, piersiówki

i tabliczki czekolady.

– Reinhardt, proszę poznać naszych gości – odezwał się Ritter, chwytając Pierwszego za

rękaw – To Herr Klaus Vordinger, doktor Alfred Wiesmann... A to Fräulein Ewa Loewengang.

Ewa Loewengang zwracała uwagę. Przede wszystkim wzrostem. Jej głowa udekorowana

loczkami „na pudła” wznosiła się odrobinę ponad top pierwszego, dodatkowo szacunek budziły

szerokie bary i imponująca, łabędzia

pierś pod kosmatym sweterkiem. Jej kształt przywodził na

myśl dwie gruszki dziobowe bliźniaczych niszczycieli.

Reinhardt strzelił obcasami swoich morskich buciorów i uścisnął dłonie. Smukłą, silną dłoń

damy, lodowatą, szkieletowatą łapkę Vordingera i suchą Wiesmanna.

Vordinger nosił wąs i wyglądał jak stalowosiwy, emerytowany lekarz, a Wiesmann był chudy,

miał okrągłe, druciane okulary i dwa razy za duŜo zębów. Przypominał



uczłowieczonego

krokodyla.

– Czy kajuty naszych gości już są gotowe?

– Niestety, trudno to nazwać kajutami – zauważył Reinhardt – ale kazałem już opróżnić dwa

przedziały, według rozkazu.

– Poznaje mnie pan, Herr Oberleutnant?

– zapytała postawna blond-bestia.

Reinhardt wpadł w popłoch. Mózg ruszył mu na najwyższych obrotach jak przelicznik

artyleryjski, ale wśród epizodów,  
przygód, a nawet pijackich incydentów  
nie figurowało

wspomnienie o prawie dwumetrowej  
blond – szkapie z cycem jak dwie pławy  
i głosem niczym

nurkujący sztukas. Z pewnością nie.

– Pani wybaczy... ale...

– Madame Ewa jest diwą Opery  
Berlińskiej – oznajmił surowo Ritter.  
Siadać Reinhardt!

Niedostatecznie! – Jej wykonanie  
Wagnera wzbudziło zachwyt samego  
Führera!

– Przepraszam, ale ostatnio nie bywam w operze.

– MoŜe zechce się pan wykąpać? – zaproponował kapitan „Oxfolta”.

– Dziękuję, ale powinniśmy jak najprędzej odpłynąć. Kiedy nastanie świt...

– Herr Oberleutnant, jest pan pod ochroną naszych baterii przeciwlotniczych i stoimy z daleka od szlaków. Okręt jest tu bezpieczny.

– Chyba się pan nie boi, poruczniku? – Ewa spojrzała na niego oczami błękitnymi jak szafiry

zamroŜone w bryłkach lodu.

– Boję się, proszę pani. O załogę i okręt. Spięci cumami jesteśmy bezbronni i niezdolni do

manewrów. Zaopatrzenie naleŜy pobierać jak najszybciej. Do tego stan morza moŜe się

pogorszyć...

– Och, mają tu tyle tych armat... MoŜe pan być zupełnie spokojny. Na pewno nic się nie stanie.

– To państwa zabieramy na pokład?

– Panie Reinhardt, pański kapitan

jeszcze nic panu nie mówił? – zagadnął  
Vordinger. – Nie

tylko nas. Jeszcze ładunek i naszych  
ludzi. Mam nadzieję, że się zmieścimy.

Reinhardt spojrzął za jego dłonią i z  
osłupieniem zarejestrował czterech  
potężnie

umięśnionych blondynów w czarnych jak  
sadza mundurach i polowych czapkach,  
którzy

podpierali rzędem ścianę i przypominali  
ożywione plakaty Volkssturmu.

Granitowe szczęki,

niebieskie oczka łypiące spod czarnych

daszków, włosy barwy lnu. Nosili  
bryczesy, koalicyjki i

wypucowane do połysku oficerki, ale  
nie mógł rozpoznać formacji. Nie mieli  
chyba nawet

przepisowego godła na ramieniu.

Pomyślał, że to niekoniecznie wojsko.  
Tyle było rozmaitych organizacji i służb,  
a wszyscy

oblekali się w jakieś mundury, i to coraz  
bardziej operetkowe.

Obaj przedstawieni mu mężczyźni niby  
byli w cywilu, ale ubierali się  
identycznie. Obaj mieli

okrągłe swastyki wpięte w krawaty i jakieś znaczki w klapach marynarek. Coś, co wyglądało jak

czarna strzałka skierowana grotem do góry, obwiedziona białą, na czerwonym tle. Diabli

wiedzieli, co to jest.

– Zmieście się państwo. W tych dwóch przedziałach zwykle podróżuje do dwudziestu ludzi,

ale komfortu tam nie ma. Zwłaszcza dla pani nie będzie odpowiednich warunków.

– Wszystko dla zwycięstwa, Herr

Oberleutnant. To jest warte kaŝdej ceny.

Reinhardt postanowił dać sobie godzinę.  
Jedną godzinę przeznaczoną na  
korzystanie z piwa,

koniaku, pieczonej gęsi z czerwoną  
kapustą, rolady i wątrobianych  
kluseczek. Tam na dole i tak

musiało potrwać.

„Proszę skosztować kiełbasy, panie  
pierwszy. Prawdziwy Wurst! W kraju  
pan nic takiego

teraz nie zje, mam kuka, który pochodzi z  
Gór Kacperskich!”.



„Za zwycięstwo!”.

Dosyć tego bałwaństwa, pomyślał sobie po jakimś czasie Reinhardt. Postanowił wyślizgnąć

się stąd i wracać na okręt.

Równocześnie ładowano prowiant i zaopatrzenie, na gwałt naprawiano

co większe uszkodzenia, dwudziestu ludzi z dziobowego pakowało w pośpiechu toboły. To

musiało być istne pandemonium.

Był już w połowie pomieszczenia, kiedy dopadł go Wiesmann i z miejsca zaczął łapać za

guzik. Był juŝ lekko podpity. Reinhardt nie znoŝ takich typków z lepkiemi rączkami. Aŝ się

prosiło, Ŝeby przydzwonić mu w tę krokodylą szczękę.

– Wykonał pan rozkaz?

– Znaczy?

– W załodze nie moŝe być elementów nieczystych rasowo. Do trzeciego pokolenia... Tylko

czysta krew. To bardzo waŝne. – W ogólnym zgiełku nie za bardzo było go słychać.

– Zredukowałem załogę, według rozkazu  
– powiedział Reinhardt wymijająco.

– Tak... Zredukować. śadnych  
mieszkańców. Tylko Aryjczycy.  
Prawdziwi. Jak się nazywa

pański okręt?

– Nie nazywa się. To okręt podwodny.  
U-966. Oznaczenie wywoławcze ULF.

– Więc Ulf! Ulf, czyli wilk po  
starogermańsku! Wspaniale. Panowie, za  
pomyślność okrętu

Ulf, który przyniesie nam wszystkim  
upragnione zwycięstwo! Za operację  
Götterdämmerung!

Heil Hitler!

Wszyscy wstali, ktoś wcisnął  
osłupiałemu Reinhardtowi kieliszek  
koniaku.

Więc tak wygląda w Abwehrze  
najwyższy stopień tajemnicy? –  
skonstatował w duchu.

Poddam się. To nie ma sensu. Poddam  
się pierwszemu napotkanemu  
niszczycielowi i pojedę

sobie do Kanady karczować lasy.  
Starego się udusi... Ta wojna  
prowadzona jest przez

imbecylów. Szkoda mojego czasu. Panie

i panowie, zostaliśmy nabrani.

Podszedł do stołu, szukając Rittera, i zastał go rozmawiającego ze śpiewaczką i Vordingerem.

– JakŜe państwu zazdroszczę – mówił Ritter. – Bardzo chciałbym teŜ zobaczyć Führera na

własne oczy.

– AleŜ, panie kapitanie – wdzięczyła się diwa. – Kiedy wrócimy, jestem pewna, Őe przyjmie

pana osobiście! Nawet pan nie wie, jak wiele od tego zaleŜy. My...

– Najuprzejmiej przepraszam panią –  
powiedział Reinhardt. – Panie kapitanie.  
Proszę

o pozwolenie powrotu na okręt. Muszę  
dopilnować prac pokładowych i  
przygotować wszystko

do odpłynięcia.

– Co...? Ach, tak, Reinhardt.  
Przygotować. Słusznie. Zezwalam.

– JuŜ pan nas opuszcza, Herr  
Oberleutnant?

– Niestety. Serdecznie radzę, Ŝeby  
państwo równieŜ przygotowali się do  
odpłynięcia i weszli na

pokład najdalej za dwie godziny.

\* \* \*

Czif wyglądał jak duch ojca Hamleta. Z podwiniętymi rękawami, po łokcie utyłany smarem,

którego smugi pojawiły się nawet na jasnej brodzie, z włosami zlepionymi od potu siedział pod

barierką diesla i apatycznie wycierał dłonie szmatą.

– Baterie akumulatorów i siłownia elektryczna sprawne – powiedział Reinhardtowi

zmęczonym głosem. Gdzieś w tle jego mechanicy zbierali narzędzia i kawałki kabli, z hałasem

układali na miejscu lśniące kraty gretingów. – Dławiki chrap i siłowniki sprawne, nieszczelności

głównego kolektora za wodowskazem załatane, dwa odsalacze sprawne, łóŜyska wału obsadzone,

oringi wymienione, uszkodzenie kadłuba nad zbiornikiem balastowym zaspawane. Da się jechać.

Zostało trochę drobiazgu, ale to możemy spokojnie połatać po drodze. Mamy paliwo. A jak



wygląda na gorze?

– Dziękuję. – Reinhardt podał tamtemu butelkę piwa. Główny mechanik przyjął ją

z wdzięcznością i jednym ruchem odbił kapsel o śrubę bloku silnika. Piwo huknęło jak szampan,

kapsel poleciał gdzieś, rykoszetując z brzękiem niczym pocisk. Czif uniósł się, znalazł kawałek

blaszki i posłał ją do wiadra ze zużyтым olejem. Mechanik pił duszkiem, piana wsiąkała mu w

brodę i widać było, jak niezmordowanie

porusza chudą grdyką.

– Dwóch kretynów, moim zdaniem,  
Abwehra, czterech byczków prosto z  
aryjskiej farmy

rozplodowej i śpiewaczka operowa.  
Mamy to wszystko wieźć w ocean. Nie  
wiem, dokąd, i nie

wiem, dlaczego. Mam nadzieję, Œe  
chodzi o to, Œeby ich gdzieś utopić.

– Śpiewaczka? – zapytał czif z  
niedowierzaniem.

– Operowa – potwierdził Reinhardt z  
goryczą. – Dwa metry, tleniony blond,  
brak nosa, oczy

krowy i cyce jak pontony. Głupia jak bawarskie gacie. Prezes jest zachwycony.

– Robi się coraz dziwniej.

\* \* \*

W centrali zrobił się tłok. Długi sznur marynarzy z workami w rękach tłoczył się do wyjścia,

tymczasem ciągle jeszcze noszono skrzynki konserw i suszone kiełbasy, przy radionamierniku

szafki straszyły plątaniną kabli i biedzili się tam elektrycy.

Reinhardt starał się nie przeszkadzać.  
Siedział w mesie O, popijając sok  
jabłkowy z butelki,

i czekał, a chaos przeistoczy się w coś  
sensownego.

– Mamy teraz torpedy we wszystkich  
wyrzutniach, ale Śadnego zapasu –  
mówił drugi oficer.

Napił się ofiarowanego mu piwa i  
mlasnął. – Amunicji do pelotek nie  
braliśmy w ogóle, bo

mamy komplet. Dwa przedziały  
dziobowe wolne, a ponieważ Ś nie ma  
zapasu torped, niczego nie

trzeba będzie regulować, więc to w zasadzie bez znaczenia. Będziemy odpalać elektrycznie.

Spisaliśmy siedemnastu ludzi. Będziemy robić trzy wachty i jakoś to będzie. Jeśli nie mamy

przewodzących normalnych ataków, to w zasadzie nie ma problemu.

Marynarze w centrali ruszyli wreszcie na górę, a potem po zrzuconej im z burty „Oxfolta”

sieci. Na pokładzie natychmiast rozległy się wrzaski.

– Nie zapomnijcie pisać, cholerni

szczęściarze! A wsadź swojej starej raz  
ode mnie! Trzymać

mi tam koje gotowe do akcji, aŜ wrócę!  
Pozdrówcie zimne NorweŜki! Rozgrzać  
je jak naleŜy!

– Szczęściarze – mruknął Drugi.

– Czy ja wiem... Zimno, parszywe  
Ŝarcie, naloty. Sam juŜ nie wiem, gdzie  
gorzej. Widział pan,

jakie dali zaopatrzenie? ŚwieŜe sery,  
owoce, kiełbasa, konserwy...

– Widziałem nawet rosyjski kawior,  
pasztety i łososia w puszkach. Skąd to  
wytrzasnęli?

– To raczej dla pasażerów. Niech pan nie liczy, że zobaczymy takie rzeczy na stole w mesie.

Na kiosku rozległy się kroki i kobiecy śmiech.

– Jaki on malutki! Jaki maleńki!

– Ona mówi o okręcie? – zapytał ktoś w mesie podoficerów, chyba Fanghorst.

– Nie! O twoim fiutku!

– Och, zamknij się, stara świnió, z nikim tu nie można porozmawiać!

Reinhardt westchnął i napił się soku.

Na pomoście znowu rozległ się piskliwy chichot, a potem krzyk: „Chrzczę cię! Chrzczę cię...

Nibelung!” . A potem szklany łomot o burtę. Drugi skrzywił się odruchowo.

– Co to było?!

– Butelka po szampanie, prawdopodobnie. Kolacja, mianowicie, dobiegła już końca.

Kolejny dźwięk, który rozległ się na górze, w pierwszej chwili kojarzył się z syreną alarmową.

Akustyk, siedzący apatycznie na swoim stanowisku, nagle zdarł z głowy



słuchawki i poderwał

się z krzesła.

– A to co?!

– Aria. Zdaje się, „Pierścień Nibelungów” Wagnera. Drugi oficer zrzucił furaŝerkę na stół

i rozmasował twarz.

– Co tu się wyprawia?! W co my się pakujemy? Właz do centrali otworzył się ze

skrzypnięciem, po czym pokazała się szczupła noga obleczone jedwabną pończochą ze szwem, w

damskim pantoflu i poła futra. A potem rozległ się chichot.

– Jakie to ciasne! OstroŚnie, bo złamię obcas! Au! Tu wszystko jest Śelazne!

Kiedy madame Loewengang gramoliła się po zejściówce, wszyscy obecni w centrali jak jeden

mąŚ w milczeniu patrzyli w górę. Nawet akustyk odwrócił się na swoim siedzisku. Śpiewaczka

miała na sobie długie futro i stojąc juŚ na pokładzie, marszczyła nos jak rozzłoszczony

pekińczyk.

– Fuj! PrzecieŜ tu trzeba wywietrzyć!  
Okropne! Mój kufer się nie zmieści!  
Trzeba zabrać mój

kufer!

Istotnie. Nie tylko jej kufer obity skórą i  
spięty skórzanymi pasami, ale i cztery  
pokaźne

skrzynie, podobne do amunicyjnych, nie  
miały szansy zmieścić się w luku.

Reinhardt wyszedł na górę i otaksował  
stertę bagaŜu.

– Do luku załadunkowego przedziału  
torpedowego z tym wszystkim! Ruszaj  
się, człowieku!

– OstroŜnie!

– JuŜ ja siê za was wezmê, chłopcy! –  
dobiegało z dołu. – Jeszcze będziecie  
jeść z kwiatami na

stole!

Na pomoście i w centrali znowu zrobił  
siê tłok i chaos osiągnął szczyt.

PasaŜerowie

przeciskali siê przez grodzie na dziób,  
Ewa straciła równowagê i z piskiem  
usiadła na koi w

sekcji motorzystów, lądując jednemu z  
marynarzy na kolanach. Czterej ubrani  
na czarno

Aryjczycy pchali się w milczeniu,  
holując swoje toboły. Ktoś potknął się o  
próg sztormowy w

mesie PO, przewracając butelkę z  
sokiem w czyjąś pościel. Ritter wcisnął  
się do centrali i stał

pośrodku wsparty majestatycznie o  
barierę stanowiska radionamierników,  
zawadzając kaŜdemu,

kto chciałby gdziekolwiek przejść.  
Pierwszy sternik przeciskał się na swoje  
miejsce.

– Szykować się do zdjęcia cum! Chować  
polery! – wrzeszczał Reinhardt na  
pomocie. Na

horyzoncie niebo już robiło się szaro. Burta okrętu stojącego obok nich

zmieniła się w czarny masyw.

A potem w jednej sekundzie świat stanął nagle na głowie.

Najpierw rozległ się ryk klaksonu na kiosku, niemal prosto w ucho, a potem wrzask Rittera:

„Alarm! Lotnik!”. Reinhardt zaś przysiadł z wrażenia. Ryknął: „Rzucić cumy!” i rozejrzał się

bezzradnie po niebie, ale zobaczył tylko czarną masę nieruchomego „Oxfolta”

wiszącą nad nim

jak górskie zbocze. Marynarz na dolnym pokładzie zrzucił cumę z ostatniego polera i pobiegł do

luku załadunkowego. Reinhardt spojrział jeszcze na dziób i rufę, upewniając się, że zamknięto

wszystkie luki, i zjechał w głąb kiosku, zamykając właz i dokręcając rygle w momencie, kiedy

okręt szedł już pod wodę.

– Wszyscy na dziób! Zanurzenie alarmowe! Gdzieś z przodu rozległo się Ewy: „Auu!

Nadepnął mi pan na nogę!” i nerwowy tupot. Reinhardt przytrzymał się barierki stołu

nakresowego. Z łoskotem po pokładzie potoczyła się jakaś butelka.

– Radionamiernik, pytam namiar?

– Nic nie miałem – powiedział operator.

– Zupełnie nic. Albo „Oxfolt” go zasłonił, albo to

fałszywy alarm.

W tym momencie potężna eksplozja wstrząsnęła morzem. Jedno krótkie, głębokie tąpnięcie,



które mogło połamać zęby, a potem seria wibracji, która przepłynęła przez kil okrętu. Światło

zamigotało.

– Dostali ich?! Jedną bombą? – zapytał ktoś w osłupieniu. Spojrzeli na akustyka, który

przyciskał słuchawki do głowy i patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Reinhardt

otworzył usta, ale niepotrzebnie. Było już słyhać doskonale, takŜe bez słuchawek. Dźwięk, który

znał aŜ za dobrze – wielorybie,

przeciągłe zawrodozenie konającego  
statku. Wiedział, że źródłem

hałasu jest powietrze wypychane przez  
wodę z komór kadłuba, ale i tak ciarki  
zawsze chodziły

mu po plecach.

– Co to jest?! – usłyszał przerażony głos  
Ewy.

– Śmierć statku – odpowiedział ktoś. –  
Zawsze tak krzyczą, kiedy toną.

Idący na dno „Oxfolt” minął ich w  
odległości dwustu metrów. Słysząc  
było, jak fragmenty

kadłuba szczękają i obijają się o siebie,  
potem skrzypienie i potrzaskiwanie  
pękających grodzi.

– Houdini... – szepnął ktoś. –  
Himmerich...

– Ofiary są niezbędne dla zwycięstwa –  
oznajmił nagle Wiesmann gdzieś z  
dziobu. – Zresztą,

to byli tylko podludzie...

Gdzieś za mesą elektryków słychać  
szamotaninę, ktoś coś przewrócił, ktoś  
syknął zduszonym

głosem:

„Nie, kretynie... Zamknij się... Puść mnie! Nie! Spokój!” – ale wszystko szeptem. Reinhardt

z trudem rozluźnił szczęki i zobaczył zalaną zielonkawym światłem przyrządów mostka twarz

Starego. Bez wyrazu, ze zmrużonymi oczami. Kapitan patrzył na niego badawczo. Akustyk

trzymał się kurczowo za barierkę, a chude kostki jego dłoni były zupełnie białe.

– Głębokość peryskopowa! – krzyknął Reinhardt. – Zwrot! Kurs w rejon katastrofy!

– Nie! – huknął Stary. – Co pan sobie wyobraŃa! Był alarm lotniczy!

– Tam mogą być rozbitkowie.

– Samolot moŃe wrócić!

– Nie słyŃzałem Ńadnego samolotu – powiedział Reinhardt, patrząc kapitanowi prosto w oczy. –

Nie było teŃ namiaru.

– Powiedziałem: nie!

– Proszę zostać pod wodą – odezwał się sucho Wiesmann. – Wiem, Ńe uwaŃa nas pan za

pasaŜerów, ale zapewniam, Œe pański kapitan wyprowadzi pana z błędu. Wiem, jak to jest

z marynarzami. Chciałby pan powiedzieć, Œe na morzu mam siedzieć w kajucie, a pan dowiezie

mnie na miejsce, i Œe tutaj dowodzi kapitan albo pan w jego imieniu. Myli się pan. Tu chodzi o

ostateczne zwycięstwo. Te romantyczne bzdury o morskim obyczaju nie mają zastosowania.

ZbliŜył twarz do twarzy Reinhardta i wlepił w niego bladoniebieski, obłąkany wzrok.

Pierwszy patrzył spokojnie, a nawet pogodnie, i raptem zaczął się uśmiechać. Lekko i niewinnie,

ale za to coraz szerzej.

Sternik nieraz odwiedzał w towarzystwie Reinhardta rozmaite knajpy od Marsylii po Gdańsk i

doskonale wiedział, co to znaczy. Chwycił oficera za ramię i unieruchomił mu rękę.

– Panie pierwszy, pan usiądzie – powiedział, odgradzając go od Wiesmanna.

– Nie wynurzy się pan – oznajmił

Wiesmann. – Natomiast wyznaczy pan kurs do tego miejsca.

– Podał mu kartkę z zakodowanymi współrzędnymi, które można znaleźć tylko na mapach

Dowództwa Okrętów Podwodnych.

\* \* \*

– Po pierwsze, była tylko jedna eksplozja – mówił Reinhardt, niemal nie otwierając ust. Oparty

o mapy na stole nakresowym uważnie przesuwiał liniał. – Nie było serii bomb, tylko pojedyncza



eksplozja, po której dziesięcioletnik zatonął w ciągu pięciu minut.

– Statek idący pod szwedzką banderą – powiedział Drugi, gryząc jabłko.

– Mniejsza o banderę. Stary okrzyknął alarm i natychmiast poszliśmy pod wodę. A „Oxfolt”

milczał. Przecież tam była cała wystawa techniki przeciwlotniczej. Daleki horyzont obserwacji,

radiolokatory, namierniki i nie zauważyli samolotu? Nie było zamiaru radiolokacyjnego, nie było

słyszeć silnika, żadnej strzelaniny. A

pół minuty później trafienie. Do tego patrzyłem na naszych

gości. śadnej paniki. Alarmowe zanurzenie w momencie, kiedy wchodzą na pokład, i „nadepnął

mi pan na nogę”. A statek tonął kilka minut. Tak idą na dno tylko niszczyciele. I to o ile płyną

pełną parą i dostaną torpedę w dziób. Owszem. Ale nie frachtowiec stojący w dryfie. PrzecieŜ to

jest wanna.

– Co pan sugeruje?

– Œe „Oxfolt” został wysadzony w powietrze. Znalazł drugi namiar i zrobił malutki krzyŒyk

ołówkiem, po czym wyznaczył kurs.

– I dokąd pŒyniemy?

– Donikąd. Kawalek. DwieŒcie mil na pŒłnoc od Islandii. W miejsce, w którym nie ma

kompletnie nic.

– Powinien pan zŒoŒyć raport. Tak czy inaczej. DŒnitz nie przepada za Abwehrą.

Reinhardt przygryzł tylko cybuch puste

fajki i pokręcił głową.

– Stary pokazał mi papiery. To są rozkazy z Kancelarii Rzeszy, panie Wichtelmann, a nie

Ŝadna Abwehra. I niech pan zgadnie, kto je podpisał. Ta banda błaznów dostała okręt w

prezencie. JeŜeli kaŜą panu wsadzić sobie strusie pióra w zadek i tańczyć na stole nawigacyjnym

albo wystrzelić się z torpedą, będę mógł tylko rozłoŜyć ręce. Sternik! Kurs sto osiemdziesiąt! Za

dwadzieścia minut wyjść na

peryskopową.

\* \* \*

Przed zamkniętą grodzią przedziału dziobowego stał wartownik. Jeden z czterech blondynów,

których zaczęto uważać już za czworaczki. Stał w rozkroku w swoim czarnym mundurze, z

MP40 przewieszonym przez pierś i w błyszczącym, pokrytym chromem hełmie, w którym

wyglądał jak strażak. Stał i patrzył przed siebie przymrużonymi oczami, zupełnie jakby pilnował

Reichstagu.

Natknąwszy się na niego po raz pierwszy, Reinhardt zbaraniał. Jediną sztuką broni osobistej na

pokładzie był do tej pory pistolet zamknięty w szafce dowódcy. Nawet nie chciało mu się

wyobraŹać sobie skutków, jakie miałoby strzelanie wewnątrz okrętu z szybkostrzelnej armaty

wiszącej na piersi wartownika.

– Poza tym grodzie muszą być otwarte – tłumaczył Wiesmannowi delikatnie, takim tonem,

jakim rozmawia się z wariatem. –  
Chodzi o przepływ powietrza. To jest  
okręt podwodny. Nie

można otworzyć okien. W razie alarmu  
musi być dostęp do sekcji dziobowej.  
Do tego tam jest

druga toaleta i umywalnia. Nie możecie  
jej tak po prostu zablokować.

– Zgoda, panie Oberleutnant. Drzwi  
będą otwarte, a wartownik będzie stał  
wewnątrz

przedziału. Ale niech załoga nie  
wchodzi tam bez potrzeby. Proszę mi  
powiedzieć, Herr

Reinhardt, to jest imię czy nazwisko?

– W moim przypadku nazwisko.

Nazywam się Udo Reinhardt.

– Bardzo ciekawe... Skoro już o tym mówimy, pani Ewa skarżyła się na marynarzy.

Reinhardt uniósł brwi.

– Tak?

– Chodzi o atmosferę... Szczerze mówiąc, ja też spodziewałem się, że jest tutaj więcej

śołnierskiej postawy. Więcej patriotyzmu. Tymczasem marynarze



rozmawiają wyłącznie

o jedzeniu i o... spółkowaniu. I te  
wulgarne Śarty... żołnierze aryjscy nie  
powinni się tak

zachowywać. Nie widać w nich  
poczucia misji. No i ten brak higieny.  
Czy tak wyglądają

Niemcy?

– Spodziewał się pan błędnych rycerzy,  
Wiesmann? MoŜe psalmów? A moŜe  
pelargonii

w luku torpedowym i gipsowego  
krasnala na pomoście? – Reinhardt  
poczuł, Ŝe chce stąd wyjść.

Chociaŝby na kiosk. A najlepiej  
wysiaŝć. – To po prostu marynarze. I to  
marynarze floty

podwodnej. Od chwili wyjŝcia z portu  
wszyscy na nich poluj. Moŝe ich zabić  
najgłupsza awaria.

Większoŝć okrętów nie wraca juŝ z  
pierwszego rejsu. A dla tego okrętu to  
jest pierwszy rejs i oni

dobrze o tym wiedz. W tej chwili w  
całej flocie jest moŝe ze stu ludzi, którzy  
przeŝyli na U-

Bootach dłuŝej niŝ trzy lata.

– A jednak...

– A jednak – powtórzył Reinhardt z naciskiem – Wiesmann, to są młodzi chłopcy. Większość

nie ma jeszcze osiemnastu lat. A pańska przyjaciółka wcale miło spędza czas tam w dziobie.

Łatwo zauważyć, że jest śpiewaczką, bo słyhać ją aż w maszynowni. Jak panu się zdaje, jaki to

może mieć wpływ na morale czterdziestu młodych mężczyzn, którzy od tygodni nie widzieli

kobiety?

Wiesmann zrobił się purpurowy na

twarzy.

– Ja sobie wypraszam...!

– A wyprasza pan sobie – warknął Reinhardt. – Ale nie zawracaj mi pan głowy bzdurami!

\* \* \*

Kolejnego dnia rejsu goście rozpanoszyli się po całym statku. Ewa Loewengang z własnej

inicjatywy postanowiła poprawić morale załogi i umilała im czas, śpiewając wybrane arie z

Wagnera przez radiowęzeł. Wiesmann i

Vordinger siedzieli w centrali, co gorsza, w

towarzystwie Starego.

To chyba nastąpiło właśnie wtedy.

Potem wielokrotnie Reinhardt usiłował sobie uświadomić, kiedy świat oszalał. Schwycić ten

moment, kiedy rejs zamienił się w koszmar wariata. Gdy tamci weszli na pokład? Później?

Ale to chyba była ta chwila, kiedy zaczęli rzucać kości wróŜebne na stole nakresowym

w centrali.

Zrazu myślał, Ŝe to jakaś gra. Coś w rodzaju mah-jonga. Rozsypali po mapach garść płaskich,

rzecznych otoczaków z wymalowanymi zygzakowatymi znaczkami. Otworzył juŜ usta, by

poprosić ich o przeniesienie się z tym do mesy, „to jednak jest pomost bojowy okrętu

podwodnego, panowie”. Ale usłyszał nieprzytomne: „raidho... mannaz... jera... w domu

Asgardhu...”.

- Skuld – odpowiedział na to Vordinger.
- Kenaz... Perthro. Tak. Przyszłość jest jasna.

Zamierzenia oczywiste. – Spojrzał na Reinhardta i wskazał palcem przypadkowy punkt na mapie.

– Tu. Kiedy tu możemy być?

– Za godzinę, podejrzewam – powiedział Pierwszy.

– Niech pan każe tam wynurzyć.

Reinhardt spojrział przeciągle na kapitana.

– Słyszał pan, Reinhardt – warknął

Stary.

– Proszę uprzejmie – powiedział  
Reinhardt. – Według rozkazu.

\* \* \*

W rzeczywistości znaleźli się w tym  
punkcie prawie dwie godziny później.  
Reinhardt kazał

wystawić najpierw peryskop, wreszcie  
wynurzył kiosk i z ulgą wyszedł na  
pomost, rozpalając

fajkę juŜ na schodkach zejściówki.

Obaj dziwni pasaŜerowie równieŜ  
wyszli na pomost. Bez ceregieli, nie



uprzedzając nikogo,

zupełnie jak na balkon u cioci.

Ocean był całkiem spokojny i nad wodą nisko wisiała gęsta mgła, więc nie trzeba było

obawiać się samolotów. Reinhardt, oparty o przedni falochron, całkowicie poświęcił się

rozkoszom palenia fajki. Pasma i smugi mgły snuły się nad wodą, dziób rozcinał niewielkie fale.

Nagle Reinhardt, zmarszczywszy brwi, uniósł lornetkę do oczu. Zesztywniał cały, a ściskana w

zębach fajka lekko obwisała.

Wpływali na morze trupów.

Najpierw były to pojedyncze sylwetki kołyszące się w kamizelkach ratunkowych jak spławiki

albo makabryczne boje. Ludzie bez rąk albo tylko bez palców, o twarzach czarnych od poparzeń i

zakrzepłej krwi, czasem wydziobanych do gołej czaszki przez mewy. Kamizelki były

staroświeckie, z kostek korka zaszytych w Sóltym brezencie, takie jakie zdarzały się juŜ tylko na

transportowcach. Widać je było z obydwu burt jak okiem sięgnąć. Kołysały się na falach. TuŜ

pod wodą przy kaŜdym nieboszczyku kłębiły się małe ławice ryb.

Reinhardt przygryzł fajkę i miał juŜ nakazać zanurzenie, ale spojrzał tylko na obydwu

jegomościów na pomoście, którzy uśmiechali się radośnie, i dał spokój. Vordinger wyjął z

kieszeni płaszcza mały aparat fotograficzny i robił zdjęcia topielcom.

Skąd ich tyłu? – pomyślał rozpaczliwie

oficer. Przecież Tomki przeszukują cały sektor, kiedy

tylko tracą statek. Za każdym konwojem idą statki ratownicze. Mają samoloty poszukiwawcze.

Skąd ci nieszczęśnicy się wzięli?

Za kolejnej fali wynurzyło się coś, co wyglądało jak gigantyczna meduza. Pływający kilem

do góry kawałek szalupy otoczony wianuszkami rozbitków. Na niej siedziało kilku, pozostali

zanurzali się do pasa w wodzie i najwyraźniej żyli.

Gdybym mógł ich zabrać, pomyślał Reinhardt. Gdyby to była cywilizowana wojna,

powinienem ich zabrać i odstawić na ląd. Tak to się powinno robić. To musiało się stać

niedawno. To musiało być niedawno, bo jeszcze Śyją pomimo wyziębienia.

Miał nadzieję, Śe jego weseli goście nie zobaczą Śywych rozbitków, bo gotowi zaŚadać

karabinów maszynowych.

Mylił się. Co dziwniejsze, Wiesmann zareagował okrzykiem: „Tam są!” –

zupełnie jakby na

kogoś czekał.

– Reinhardt! Proszę podpłynąć do tych ludzi. – Vordinger wyciągnął rękę, a potem zrobił

rozbitkom zdjęcie. – Bierzemy ich na pokład.

– Niestety, nie możemy brać rozbitków. To wyraźne rozkazy Kommando der Unterseeboote.

– A ja panu mówię jeszcze raz, Œe nie podlega pan juŒ Dönitzowi, tylko Thulegesellschaft.

I ma pan tylko moje rozkazy. A ja mówię, wyłowić tych ludzi.

Reinhardt odpiął mikrofon interkomu, patrząc na tamtego w osłupieniu. Jego fajka zgasła.

Rozbitków było dziewięciu. Posadzono ich na aŚurowym przednim pokładzie, Reinhardt kazał

wyciągnąć dla nich koce i gotować gorącą herbatę. Nie wiedział, jak się zachować. Kręcił się

między rozbitkami, patrzył na zapadnięte twarze, włosy posklejane ropą, na usta popękane od

solu i pokryte strupami. Wolał  
utrzymywać się w przekonaniu, że  
walczy ze statkami. Z wielkimi,

sunącymi na horyzoncie lewiatanami o  
skórze z nitowanej blachy. Widok  
dygocących rozbitków

był nie do zniesienia. Tak łatwo było  
podzielić ich los. Dryfować potem po  
oceanie i konać

powoli dzień po dniu, wisząc w tych  
sparciałych korkach nad otchłanią. Nie  
umiał spojrzeć im w

oczy.

– What ship? – zapytał wreszcie.



Bez odpowiedzi. Patrzyli na niego tylko wielkimi, sarnimi oczami.

– „Millehaven Lady”, sir! – odezwał się wreszcie któryś niechętnie.

– Przecież nie mogą leżeć na pokładzie – powiedział Reinhardt. – Musimy się zanurzyć.

– Popłyną w przedziale torpedowym, na samym dziobie – oznajmił Vordinger. – Ścieśnimy się

trochę i kilka dni wytrzymamy.

Dlaczego kilka dni? – pomyślał Reinhardt. Co będzie za kilka dni?

Otwarto luk artyleryjski i dwóch bliźniaków w hełmach zagoniło rozbitków pod pokład.

– Jak daleko jeszcze do celu, panie Reinhardt? – zapytał Vordinger.

– Niedaleko – powiedział. – O ile chodzi panu o tamte współrzędne na północ od Islandii.

– A wie pan, kiedy będzie jesienna równonoc?

– Równonoc? Za dwa dni.

– Więc niech pan dołoży starań, żebyśmy zdążyli tam wcześniej.

– Słyszał pan kiedykolwiek o czymś, co by się nazywało Towarzystwo Thule? – zapytał

Reinhardt półgłosem, krojąc chleb.

Czif pokręcił głową.

– Kojarzy mi się to z jakimś klubem gimnastycznym.

– Ja słyszałem – oznajmił drugi oficer. – Moja ciotka jest mianowicie okultystką. Kompletnie

szurnięta. Kupowała sobie broszury. Zakon Germanów, Zakon Nowych

Templariuszy,

Hammerbund i takie tam gówna. Zdaje się, że było tam coś o tym Towarzystwie Thule. Taka

aryjska mistyka. Wotan, mity germańskie i tak dalej. Wszędzie u niej w domu było pełno tego

gówna. Ktoś mi mówił, że Gröfaz się tym specjalnie interesuje. – Zniżył głos do szeptu. – To ma

być nowa religia Tysiącletniej Rzeszy. Ponoć poszczególne ofensywy planują magowie i

wróski...

– Cicho, cicho – mruknął Reinhardt. –  
Bo sobie pan napyta biedy. O tym to już  
wszyscy

słyszeliśmy. Zresztą rzekłbym, że to  
widać z geniuszu strategicznego, jaki  
nam się tu prezentuje.

Głośnik zatrzeszczał i popłynęły z niego  
znane już do obrzydzenia dźwięki  
Wagnera.

– Jeśli ta płyta polecą jeszcze raz,  
zaczę się modlić o bombę głębinową  
prosto w kiosk –

oznajmił czif.

– Wszystko jest lepsze niż śpiew tej

szlamy.

– Ale nie sądziłem, że zatęsknię do marszów puszcanych przez Starego.

– Za dwa dni staniemy na środku Morza Północnego, na współrzędnych, które pokazali.

Ciekawe, co dalej. Wysiądą?

– Załadowali cztery gumowe łodzie. MoŜe wysiądą.

– I powiosłują na biegun?

\* \* \*

– Jesteśmy w miejscu, które pan wskazał

– powiedział Reinhardt.

– Doskonale. Kiedy jest równonoc?

– Dzisiaj.

– Świetnie, proszę wynurzyć i wyłączyć motory. – Vordinger sięgnął do swojego skózanego

woreczka i wyjął pięć kamieni, które ułożył na mapie. – Doskonale... Gdyby tylko mógł pan zdać

sobie sprawę z wagi sytuacji. Za chwilę wygramy wojnę, panie Reinhardt. Pański okręt i my. Nie

samoloty tego grubego błazna, nie

Himmler, nie czołgi dywizji  
Großdeutschland. Nie Śadna

Wunderwaffe. Tylko my, z niewielkim  
pańskim udziałem. W tej chwili dzieje  
się historia.

Wyglądał na podekscytowanego, głos  
mu się łamał i trzęsły ręce. Poklepał  
oficera po ramieniu

i wszedł do centrali. Przez radiowęzeł  
powiedział coś w zasadzie podobnego,  
ale jeszcze bardziej

pompatycznie. Motorzyści, „lordowie”,  
marynarze z centrali i artylerzyści  
zastygli w swoich



podartych podkoszulkach i  
niewiarygodnych swetrach, drapiąc się  
albo trzymając w dłoni

zatłuszczone karty, i patrzyli tępo w  
kratki głośników. Przemowę zakończyło  
wezwanie załogi do

trzykrotnego Heil!, a potem Ewa  
Loewengang zaczęła śpiewać.

Reinhardt miał taką minę, jakby rozboleł  
go ząb, i odczekał cierpliwie niemal do  
końca, zanim

przełączył mikrofon. To było najbardziej  
osłupiałe Heil!, jakie w Śyciu  
słyszałem, stwierdził w

myślach.

– Szasować – oznajmił sucho. – Do wynurzenia.

– Niech nikt nie wychodzi na pomost – zaśadał Wiesmann. – Tylko my, kapitan i pan.

Właz otworzył się z hukiem przywodzącym na myśl korek od szampana, przez okręt przebiegł

podmuch i ciśnienia wyrównały się. Reinhardt wyszedł niespiesznie na pomost i zapalił fajkę.

Morze zdążyło się trochę rozhuścić i wiał ostry wiatr. Mgła opadła, ale

wciąż było szaro. Zrobiło

się wyraźnie zimniej.

Stojący w dryfie okręt wpadł w dokuczliwy boczny przechył, a potem zaczął odwracać się do

wiatru. Fale łomotały o kiosk i łamały się z hukiem na dolnym pokładzie.

Stary milczał, a Reinhardt również nie czuł się w obowiązku podtrzymywać rozmowę.

Postawił tylko kołnierz kurtki i wcisnął głębiej czapkę, żeby wiatr jej nie zabrał.

Otworzył się właz załadunkowy i na dolny pokład wyszło najpierw dwóch bliźniaków

w swoich lśniących nocnikach na głowie i w długich, skórzanych płaszczach. Za nimi

wyprowadzono trzech rozbitków. Reinhardt chwycił kurczowo za falochron i patrzył szeroko

otwartymi oczami, jak z włazu wychodzą Wiesmann i Vordinger, obaj owinięci kosmatymi

futrami, w jakichś kretyńskich operetkowych strojach, hełmach z krętymi, imponującymi rogami.

Za nimi wygramoliła się Ewa, ubrana  
równie idiotycznie, w futro spięte na  
ramionach i pancerz

zaopatrzony w złote, błyszczące,  
ozdobione swastykami miseczki, które  
kryły imponujące piersi.

Jej hełm wieńczyły rozłożone skrzydła,  
przez co wyglądała, jakby kaczka  
usiłowała usiąść jej na

głowie. Potknęła się na rozkołysanym  
pokładzie i przytrzymała ociekającego  
wodą relingu. Za

Ewą pojawiły się chromowane hełmy  
pozostałych bliźniaków, jak pokryte  
lśniąca pleśnią grzyby.

Reinhardt pyknął z fajki i zaśmiał się cichutko przez zęby. Spojrzał jednak na bosych,

obdartych, trzęsących się na kracie pokładu marynarzy i przestało mu być do śmiechu.

Nie podobał mu się sposób, w jaki ich ustawiono – ślizgających się na pokładzie

i czepiających siebie nawzajem. Ani ten, w jakim stanęły czworaczki. Zwłaszcza zaś nie podobał

mu się jeden z nich, ten odwrócony tyłem do jeńców, który zerkał w górę na kiosk

i przyglądającego się widowisku  
Reinhardta.

Megafon na kolumnie masztu  
antenowego zatrzeszczał i bluznął mu  
prosto w ucho dziką,

pompatyczną muzyką. Ewa zaczęła  
śpiewać.

*Runy otrzymasz i czytelne znaki*

*Bardzo wielkie runy*

*Bardzo mocne runy*

*Co Olbrzym Śpiewak zabarwiał, a  
bogowie*

*stworzyli*

*I boski run Głosiciel rytował*

*Odin – Asom, Alfom – Dain,*

*Dwalin – karłom,*

*Alswidr – Olbrzymom, a ludzkiemu*

*Pokoleniu*

*Ja sam runy kreśliłem.*

Wiatr przybierał na sile, ale okręt  
obrócił się już dziobem do fal i teraz  
dostał się w łatwiejsze

do zniesienia kołysanie wzdłużne.



Przebierańcy na dziobie z trudem  
utrzymywali równowagę, fale obmywały  
kadłub i syczały

im pod nogami.

Vordinger krzyknął coś, na co dwaj  
bliźniacy chwycili jednego z jeńców  
pod ręce i zmusili do

ukłęknięcia. Vordinger wyjął nagle  
błyszczący miecz z jelcem zawiniętym w  
spirale i poderżnął

mu gardło.

Wiatr gwizdał na sztagu i spychaczu  
sieci, głośnik ryczał, Ewa śpiewała, a  
człowiek szarpiący

się w ramionach bliźniaków  
wykrwawiał się na pokład i korpus  
głównego zbiornika balastowego

wyraźną, ciemną strugą spienionej krwi.  
Reinhardt widział jego białe stopy  
dygocące w

drgawkach i pulsujący strumień  
uderzający o blachę jak z ogrodowego  
węŜa.

*Dziewiątą znam: gdy muszę ratować*

*Mą łódź pędzoną po morzu,*

*Wicher uspokoję na fali I uśpię całą  
wodę.*

Reinhardt stał jak skamieniały, blady jak płótno, i trzymał się kurczowo falochronu.  ołnierz

przed nim bez s owa odci gn ł suwadło automatu i lekko uni sł luf .

Z tyłu jego „bracia” zepchn li z pokładu pierwsz  ofiar  i powalili drugiego rozbitka. Nie

wierz c w asnym oczom, Reinhardt patrzył, jak marynarz pogr s  si  w spienionej,

szmaragdowej wodzie, a wok ł niego rozlewa si  ciemna plama wygl daj ca jak dym.

– Bastard! Fucken nazi bastard! –  
wrzasnął trzeci marynarz, ale jeden z  
bliźniaków wykonał

szybki ruch i uderzył go lufą empi w  
twarz, po czym przydepnął leŜącemu  
plecy.

*Jedenastą znam: gdy mam na bój  
druhów wieść,*

*Śpiwam w tarczę, a oni siłą naprzód  
pędzą,*

*Zdrowi do boju*

*I zdrowi z boju,*

*śadna ich szkoda nie spotka.*

Reinhardt trwał nieruchomo, a rzeźnia dobiegła końca. Ewa kilka razy straciła równowagę

i zwymiotowała przez reling. Vordinger zebrał część krwi do miski, po czym przytrzymał za

pas przez jednego z czworaczków podszedł do kiosku i zaczął malować na nim takie same

zygzakowate znaki, jakie miał na swoich kamieniach. Reinhardt odwrócił się i odprowadził

wzrokiem trzeciego marynarza, który tonął w pozycji siedzącej, i kątem oka zobaczył błysk

metal. Ritter z nieprzeniknioną,  
kamienną twarzą belfra chował do  
kabury swój pistolet. Pistolet

z szafki kapitańskiej.

– Teraz proszę płynąć! – krzyknął  
Vordinger, zadzierając głowę w kierunku  
pomostu. – Nie

zanurzać okrętu i płynąć dokładnie na  
północ.

– Poradzi pan sobie z tym, Reinhardt? –  
wycedził kapitan.

– Jawohl – odparł Reinhardt nieswoim  
głosem. Bardzo chętnie płynął teraz na  
powierzchni.

Szczerze mówiąc, niczego sobie tak nie  
Ŝyczył jak samolotu RAF – u albo  
niszczyciela.

\* \* \*

– Czifie – powiedział półgłosem  
Reinhardt. – Niech pan znajdzie wśród  
swoich skarbów

spirytus do konserwacji torped i wleje  
mi na trzy palce do pustej butelki. Potem  
proszę dopełnić

to sokiem cytrynowym z łyŜką miodu i  
podesłać mi na pomost. Ale niech  
zwłaszcza doktor nie

widzi, co pan robi.

– Co tam się stało?

– Nie chce pan wiedzieć. Egzekucja.  
Ale szczegóły sobie darujemy. Ten okręt  
jest we władzy

szaleńców.

– Jak cały świat, Herr Oberleutnant.  
Jeszcze pan się nie zorientował?

Wyszedł na pomost, nakazawszy trzymać  
kurs na północ, i został tam oparty  
przedramionami o

falochron, pykając z fajki i pociągając  
ze swojej butelki. Tylko morze było  
uczciwe. Okrutne, ale



szczerze i uczciwie, takie jak zawsze.  
Reinhardt patrzył na fale i od czasu do  
czasu przepatrywał

horyzont. A potem opuszczał lornetkę na  
pierś i pociągał łyk.

– No dalej, boys – mruknął. – Akurat jak  
jesteście potrzebni, nigdy was nie ma.  
Dalej. Jestem

tu. Jak na patelni. MoŜecie załatwić  
oceaniczny XXI. Wilka Atlantyku.

Ale horyzont był pusty. Ani nisko  
leżącego hudsona, ani przysadzistego  
halifaksa, ani

prującego fale rekiniego dzioba

niszczyciela. Nic.

Pomyślał, że skoro ma pełne zbiorniki ropy, mógłby właściwie uciec. Uciec od tego

kretyńskiego świata, od nawiedzonych dyktatorów, aroganckich premierów, zdurniałych

generałów i ich parszywej wojny. Zostać zwyczajnym piratem. Wywiesić Jolly Rogera na

maszcie antenowym i płynąć gdzie mu się podoba. Na Karaiby albo na Kubę. Miał sześć torped i

mnóstwo amunicji. Mógłby łatwo

sterroryzować niewielki port i zaŝądać paliwa albo Ŝywności.

Mógłby zresztą rabować frachtowce zamiast je bezmyŝlnie zatapiać. Miał okręt o największej

dzielności morskiej, jaki kiedykolwiek skonstruowano. W zanurzeniu mógł drwić sobie z

najcięższych sztormów i płynąć choćby na koniec ŝwiata. Kto by go zatrzymał?

– Niemiecki Nemo się znalazł – mruknął pod nosem, ale pomysł mu się podobał. Właściwie,

dlaczego nie? Co miał do stracenia?

Trzeba by tylko utopić Starego i tę bandę  
popaprańców,

która panoszyła się na jego okręcie, i –  
hulaj dusza! Wydało mu się, Œe to duŒo  
rozsądniejsze niŒ

dać się zatopić w kretyńskiej, przegranej  
wojnie.

KiedyŒ, na pocztku, wydawało mu się,  
Œe wie, o co walczy. Mieli odzyskać  
utracon godnoŒć,

odebrać si to, co im się naleŒało, a  
przy okazji podpalić stchły Œwiat i  
zbudowa na

zgliszczach coŒ lepszego i

sensowniejszego. W oparciu o logiczną,  
niemiecką cywilizację. O

Schillera, Junga, Plancka, Heideggera.  
Jednak od dawna nic mu z tego  
przekonania nie zostało.

Doskonale rozumiał, Œe to były jakieś  
romantyczne bzdury.

Owszem, udało się spalić i zniszczyć, i  
to bardzo wiele, ale niczego nie  
budowano. A jeśli juŒ,

to na pewno nic lepszego od tego, co  
zostało zniszczone, za to spotworniałe i  
bezsensowne jak

rak. Teraz, jak wszyscy, był jedynie

wykonawcą rozkazów oszalałej  
machiny, której nikt nie

umiał zatrzymać. Czuł się już tylko  
zbrukany i wykorzystany.

Pomost drżał od wibracji, dziób ciął  
fale i okręt płynął na północ. Reinhardt  
patrzył na wodę

i niebo i starał się o niczym nie myśleć.

Najpierw sądził, że odblask, który  
widzi na kursie, to płonący tankowiec.  
Potem, kiedy zaczął

się zbliżać, uznał, że zorza polarna.  
Jednak tęczowe lśnienia zamiast  
pozostać na horyzoncie

przybliżyły się i rozlały po obu burtach.  
Reinhardt zgłupiał. Niebo i woda  
mieniły się

różnokolorowymi błyskami, które  
rzucały plamy wielobarwnego światła  
na pomost, kadłub

okrętu i na bladą, osłupiałą twarz  
Pierwszego. Wszystko to przelewało się  
wokół niego barwami

od królewskiej purpury i fioletu po  
ciepłą czerwień. Podniósł twarz i  
patrzył w osłupieniu. Nie

miał

pojęcia, co to było, ale było piękne.

Dopłynąłem do krańca tęczy? –  
pomyślał z zachwytem. Dogoniłem zorzę  
polarną? Kraniec

horyzontu?

Właz uchylił się i ukazała się twarz  
Wiesmanna.

– Proszę meldować, kiedy zobaczy pan  
coś dziwnego.

– Właśnie teraz widzę – warknął  
Reinhardt.

Właz odskoczył.

– Co?! Dlaczego pan nic... To  
niesamowite! To Bifrost! – Schował się



na chwilę i słychać było,

jak wrzeszczy do centrali:

„Dopłynęliśmy! Płyniemy Tęczowym Mostem! Udało się! To już

Bifrost! Cudownie!”.

– Proszę trzymać kurs! – krzyczał ktoś na sternika. – Proszę nie zboczyć nawet o milimetr!

Na pomoście zrobiło się ciasno. Obaj okultyści tańczyli i klepali się po plecach, załoga

pokładowa w osłupieniu gapiła się w utkane z różnobarwnego światła draperie wijące się wokół

okrętu, tylko Reinhardt czuł się tak, jakby coś mu ukradziono.

Zjawisko, które Wiesmann nazwał „tęczowym mostem”, przypominało raczej tunel

i utrzymywało się jeszcze przez pół godziny.

Potem zostało jakoś z tyłu i rozwiało się. Okręt płynął przez noc. Reinhardt zmarzył w końcu na

kość i uświadomił sobie, że nie może zamieszkać na stałe na pomoście.

Wyznaczył wachty i

zszedł na dół.

Podano świąteczną kolację. Stół nakryty obrusem, pekelflajsz z puszki w kapuście, świeŜy

chleb i pikle. Kapitan świętował na szczęście razem z gośćmi w przedziale dziobowym.

Reinhardt jadł, patrząc w talerz, i walczył z wszechogarniającą chęcią upicia się. Ale tak

porządnie. Bez Őadnej taryfy ulgowej.

– Okazja na namiar według gwiazd! – krzyknął ktoś z pomostu.

– Zjedz pan najpierw spokojnie – polecił Reinhardt, widząc, Őe drugi

oficer już na stojąco

zgardnia ostatni kawałek mięsa z talerza i napycha usta kapustą. – O co ten gwałt?

Sam postanowił zaszyć się w swojej kajutce i spokojnie osuszyć piersiówkę martella, którą

podarowali mu w czasie kolacji na „Oxfordzie”. Drugi oficer z sekstanssem pod pachą wgramolił

się po drabince do centrali i zniknął, przez cały czas Ŝując.

– Nie wie pan, co teraz? – zapytał czif.

– Nie wiem. Dopłynęliśmy gdzie

chcieli, widzieliśmy dziwną zorzę, a teraz kazali trzymać

kurs na północ. To znaczy, że za parę dni dopłyniemy do granicy pływającego lodu. Dalej i tak

się nie da. Możemy wtedy odśpiewać Deutschland, Deutschland über alles i wracać do domu.

– Pan pierwszy oficer proszony na pomost! Reinhardt westchnął i zgarnął swoją ciężką kurtkę

ze skrzyni z mapami.

– O co chodzi?

– Lepiej niech pan sam zobaczy!

– Panie Wichtelmann, to nie są imieniny u cioci, tylko okręt podwodny! Czy muszę pana

uczyć, co musi zawierać meldunek? Co to za zgadywanki?

– Tak jest, Herr Oberleutnant. Melduję posłusznie, że pomiar nawigacyjny jest niemożliwy

z powodu braku znanych gwiazdozbiorów!

– Pan jest pijany, panie drugi, czy stroi sobie żarty?

– Chciałbym, Herr Oberleutnant!

Reinhardt wyszedł na pomost i zamarł z zadartą do góry głową. Wszyscy stojący tam

marynarze milczeli i równieŜ patrzyli w niebo.

Gwiazdy były wielkie, kolorowe i w zupełnie innych miejscach. Niektóre wyraźnie

przesuwały się płynnym ruchem, zakreślając jakieś niemoŜliwe, kręte linie.

Patrzyli tak długo i długo milczeli.

– Proszę zapisać w dzienniku, panie drugi – odezwał się Reinhardt. – Pomiar gwiazd

niemożliwy z powodu braku widoczności. Nie widzieliśmy tego, panowie. Nie wiem, co to jest,

ale nie widzieliśmy tego.

– Ale... To jest... niebo, panie pierwszy – wyjąkał któryś z rozpaczą. – Co za szajs!

– Też nic nie rozumiem. To jakieś złudzenie optyczne i tyle. Coś jak fatamorgana. Proszę

trzymać wachtę. Nie zwracajcie na to



uwagi. Zmianie powiedzcie od razu, Œe to złudzenie

charakterystyczne dla okolic polarnych. Proszę odznaczyć pozycję ze zliczenia.

\* \* \*

Ląd pojawił się następnego dnia po śniadaniu, akurat kiedy Reinhardt stał pod prysznicem

i szorował się mydłem do morskiej wody. Oczywiście nie miało prawa być tu Œadnego lądu.

Poprzednia pozycja, którą osiągnęli wczoraj, miała normalny namiar. Był to punkt pośrodku

niczego, po czym płynęli dokładnie na północ.

– Co jest, Donnerwetter!! – warczał, szamocąc się ze spodniami. – Grenlandia czy co?! Panie

Wichtelmann, co to za nawigacja?! Skąd tu ład?! Gdzie my jesteśmy?

– Nie wiem, panie pierwszy. Nic nie rozumiem.

Kiedy wyszedł na pomost, byli już z kilometr od brzegu. Łąd był bury, skalisty, ale wcale

niepokryty śniegiem ani lodem. Rosła tam trawa i drzewa, w oddali widać

było wzgórze i

ciągnące się jak okiem sięgnąć wysokie mury przypominające wypolerowany metal. A gdzieś w

oddali wznosiło się gigantyczne drzewo. Było tak monstrualne, że Reinhardt uznał je za kolejne

złudzenie optyczne albo formację chmur. Tytaniczny pień przykryty niebieskawą mgiełką wbijał

się w niebo, a korona nikła w chmurach. Wyglądało jak odległy szczyt górski.

– Nadal pan nie wie, co to jest, panie Reinhardt? – zapytał Wiesmann,

szczerząc krokodyle

zęby. – A moŜe pan sprawdzi na swoich mapach?

– To moŜe pan mi powie?

– Chętnie. Bo teraz nie będzie pan mógł drwić. To Asaheim. Kraina Asów.

Germańskich

bogów. Ta olbrzymia, lśniąca budowla, którą pan tam widzi, to Walhalla. Dwór Wotana, w

którym zmarli wojownicy szykują się do ostatecznej bitwy. Do ostatecznej bitwy, panie

Reinhardt. A my poprowadzimy ich na tę bitwę. To jak, wierzy pan już? Czy zobaczyć to jeszcze

za mało?

Reinhardt milczał, stojąc z ręcznikiem w ręku i patrząc na ląd przed dziobem.

Na przednim pokładzie krzątali się marynarze nadmuchujący przewodem podłączonym do

okrętowej sprężarki pokazne, czarne łodzie pneumatyczne. Dwie z nich były już gotowe i leżały

na pokładzie jak stłoczone na plaży foki.

– Po co to panu?

– Schodzimy na ląd, a jak pan sądzi?  
Porozumieć się z Wotanem i przekazać  
mu zaproszenie

od Największego Wodza Wszech  
Czasów. Zaproszenie do ostatecznej  
bitwy. Na tym polega

nasza misja. Sprowadzimy największego  
germańskiego boga i jego wojowników.  
Jak pan sądzi,

jaki to będzie miało wpływ na przebieg  
wojny? Czy tamci zdołają ściągnąć  
swojego wiszącego

na krzyżu sydka, żeby im pomógł? Bóg

jest z nami, Reinhardt. I to nie byle jaki bóg. Sigfödr –

Ojciec Zwycięstw, Wotan – Szalony, Ojciec Poległych. Nie jakiś rabin od nadstawiania drugiego

policzka.

Reinhardt zapalił fajkę i patrzył zupełnie spokojnie. Otaczający go obłęd osiągnął rozmiary,

wobec których każda reakcja była już bez sensu. Pozostawał tylko stoicyzm.

– Kuk, proszę o kawę i kanapki na pomost!

Okazało się, że na ląd schodzą obaj  
mistycy w swoich absurdalnych strojach  
operetkowych

rycerzy, Ewa przebrana za walkirię,  
czworaczki, wszyscy rozbitkowie i  
kapitan. W specjalnie na

tę okazję wypastowanym płaszczu i  
butach, z białym szalikiem i  
wyszorowanym Krzyżem

Rycerskim na szyi. A do tego jeszcze  
czterech wybranych marynarzy do  
pomocy.

– Schodzę na ląd – oznajmił. – Przejmie  
pan na ten czas dowodzenie, Reinhardt.  
Proszę kazać



podejść jak najbliżej do brzegu.

– Sternik, podejście do brzegu, na echosondzie – zawołał Reinhardt.

Wpłynęli do niewielkiej zatoczki i stanęli jakieś pięćdziesiąt metrów od kamienistej plaży.

Dalej nie dało się już dopłynąć, bo dno usiane było skałami. Reinhardt kazał rzucić dziobową

kotwicę.

– Ojej... To jeszcze się używa czegoś takiego? Słyszałam, że kotwice to były na takich starych

statkach – zawołała Ewa. Reinhardt spojrział na nią spod daszka i napił się kawy z kubka.

Łodzie napompowano i pierwszą z nich zaopatrzone w dostawny zaburtowy silnik.

Kawalkada połączonych pontonów odbyła całą podróż tam i z powrotem trzykrotnie, wośąc

ludzi, w tym związanych długą cumą rozbitków, skrzynie i worki.

– Niech pan mówi, co tam się dzieje, panie pierwszy – poprosił Fanghorst.

– Kazali rozbitkom siedzieć na plaśy.

Teraz wypakowują worki. – Reinhardt ugryzł kanapkę i

ponownie uniósł lornetkę do oczu. Na brzegu Wiesmann wskazał uschnięte drzewo stojące

opodal i ustawiono wokół niego krąg masztów ze zwieszającymi się w dół czerwonymi

proporcami opatrzonymi czarnymi znakami: swastyką i kanciastymi runami. Pomiędzy flagami

marynarze wetknęli w ziemię metalowe pochodnie. Widać było, jak mat Zemke obchodzi je,

przypalając zapalniczką końcówki  
podobne do suchego spirytusu.

– Będzie chyba marsz z pochodniami –  
komentował Reinhardt. – Do kupy w  
czternaście osób

niezbyt imponujący, ale zawsze. Nie  
wiem tylko, czy będą maszerować po  
wyspie, czy wokół

tego drzewa.

– A mają tam bębny?

– Nie widać.

– Ale! To jak: bez bębnow?

– Za to mają portret Gröfaza. Ustawiają go na jakichś sztalugach.

Śpiew Ewy Loewengang docierał jednak na okręt mimo wiatru i odległości. Wykonywała arie z

zaangażowaniem, robiąc egzaltowane miny. Wiatr szarpał proporcami, a pochodnie kopciły

czarnym dymem.

Rozbitkowie siedzieli rzędem twarzami do morza, pilnowani przez jednego z bliźniaków

z pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś.

Po kilku minutach dwóch bliźniaków zeszło na plaŜę, zabrało jednego z jeńców i trzymając

pod rękę, powlokło w stronę drzewa.

– Himmelherrgott – wyjąkał po chwili Reinhardt. – Wieszają ich. Wieszają rozbitków.

– Odyna nazywali „Ojcem Powieszonych”, panie Oberleutnant. Oni składają ich w ofierze –

powiedział ktoś martwym głosem.

– Skąd to wiecie?

– Ja jestem w połowie Duńczyk, Herr

Oberleutnant. Słyszałem bajdy o starych bogach od

babci. Jestem Obermatrose Frenssen.

Na pokręconych i uschłych konarach drzewa szarpało się i dygotało w drgawkach sześciu

niedoszłych topielców, a obaj mistycy obeszli drzewo, przebijając każdego skazańca włócznią

z kutym, wąskim grotem.

Reinhardt opuścił lornetkę i pokręcił głową.

– To jest obłąd. Normalny obłąd.

Scheiße! Widziałem! Zamordowali tych ludzi!

Odpiął mikrofon od kolumny radionamiernika.

– Uwaga, załoga! Obsadzić działa pokładowe!

– Co pan robi?

– Nie podoba mi się ta okolica – wycedził Reinhardt.

Tupot butów artylerzystów i ich sprawne, celowe ruchy, kiedy ustawiali pelotki i zakładali

bębny amunicyjne, wydawały mu się



jakoś kojące. Miał ogromną ochotę otworzyć ogień w

grupkę na brzegu, ale nie był pewien, czy ludzie go posłuchają. Działa wyjechały ze swoich

komór, patrzył, jak opuszczają się podwójnie sprzężone lufy działek w wieżyczkach. W jarzmie

w tylnej części pomostu ustawiono już cekaemy.

– Mimo wszystko, niech pan się zastanowi – mruknął drugi oficer.

– Stoimy przy nieznanym wyspie, na terenie kontrolowanym przez lotnictwo

nieprzyjaciela.

Nad czym tu się zastanawiać?

Nie zauwaŜył, kto wrzasnął. Co  
najmniej kilku ludzi równocześnie, i był  
to krzyk

autentycznego, nagłego przeraŜenia.

– Co się dzieje! – huknął Reinhardt. –  
Bez hysterii mi tutaj!

– Tam... na brzegu...

Na brzegu pojawił się jeździec. Brodaty,  
z włócznią w ręku. I mimo Ŝe siedział w  
siodle, nie

mogli nie zauważyć, że miał  
przynajmniej ze cztery metry wysokości.  
Ale nie chodziło tylko

o wzrost. Koń, na którym siedział  
wojownik, miał pod brzuchem istną  
płatanię nóg. Na

ramieniu olbrzyma siedział kruk  
wielkości kondora, a nad jego głową  
unosił się drugi taki sam.

Reinhardt ugryzł kanapkę.

– Pytam namiar radiolokacyjny –  
krzyknął do centrali. – Obiekt na brzegu,  
kierunek trzysta

czterdzieści!

– Potwierdzam, nieruchomy obiekt na brzegu – usłyszał w odpowiedzi.

– Przynajmniej coś rzeczywiście tam jest. Frenssen skulił się z jakimś dziwnym skowytom

i zjechał po ścianie falochronu, po czym zwinął się w kłębek na pokładzie.

– Co to znaczy! W tej chwili weźcie się w garść, marynarzu! – wrzasnął Reinhardt.

Drugi chwycił Frenssena za ramię i szarpnięciem postawił na nogi. Ten usiłował stać, ale

kolana uginały się pod nim i przebiegały

go fale drgawek. Reinhardt patrzył na niego

z obrzydzeniem.

– Tto jest Odyn... – wybełkotał marynarz. – Na ośmionogim koniu... S... Sleipnirze...

– Klawo – wycedził Reinhardt. – Uspokój się, człowieku, albo staniesz do raportu!

Wychylił się przez falochron do obsady działek.

– Załoga do strzału!

– Gotów!

– Chce pan strzelać do boga? – zapytał niepewnie Wichtelmann.

– Czy ten dziadek z dzidą jeŚdŚący wierzchem na stonodze kojarzy się panu z jakimś bogiem?

Poza tym na razie do niczego nie strzelał.

Olbrzym zeskoczył z konia i podszedł kilka kroków w kierunku drzewa. Zmarszczył brwi,

patrząc na wisielców, na płonące pochodnie i łopocące flagi. Całe towarzystwo – obaj mistycy,

śpiewaczka, bliźniacy, a nawet kapitan –

padło na kolana i biło mu pokłony,  
unosząc ramiona.

Wyglądało to groteskowo nawet z  
daleka i przez lornetkę.

W końcu Wiesmann wstał i ostroŝnie  
podszedł do starca wspartego na swojej  
włóczni,

tłumacząc coś i gestykulując. Była to  
niewątpliwie płomienna przemowa,  
pełna okrzyków

i dramatycznych gestów.

Odyn wycedził coś z nieszczególnie  
przyjaznym wyrazem twarzy. A potem  
wydał z siebie

wściekły ryk. Nie jakiś nieartykułowany wrzask, było to zdanie, ale wykrzyczane przez

niewątpliwie rozwścieczonego osobnika. Jego głos był przeraŝający – przeniknął wibracjami

okręt, pokrył zmarszczkami fal wodę w zatoce. Wszyscy chwycili się za uszy i skulili na

pokładzie lub za falochronem. Ludzie na plaŝy zwałili się na plecy jak odrzuceni podmuchem

eksplozji. Starzec wyciągnął włócznie, wskazując niebo, potem uderzył nią w ziemię. Ziemia



pokryła się pęknięciami, w stronę okrętu popłynęło kilka sporych fal.

– Frenssen, tłumaczyć – krzyknął Reinhardt. – Rozumiecie coś z tego, co on gada?

– Ogłuszył mnie – jęknął marynarz.

– Na dół, do stanowiska akustyka. Ścisz na słuchawkach, może coś zrozumiesz przez wodę.

Zawsze trochę tłumi.

– On dziwnie mówi, to niezupełnie po duńsku, rozumiem tylko pojedyncze słowa – meldował

Frenssen z centrali. – Coś... Œe idŹ do  
szronowych... czy lodowych  
olbrzymów... Coś o

tchórzostwie i wojowaniu z babami i  
dziećmi... Wieczny mrok czy lód, nie  
rozumiem,

szaleństwo... Czas szaleństwa i zamieć...  
wilki... nie. Tego nie rozumiem.

LeŒący mistyk przekręcił się i na  
czworakach podczołgał do Odyna,  
rogaty hełm spadł mu

z głowy i potoczył się po piasku.  
Olbrzymi starzec przykucnął, wysunął  
przed siebie dłoń i

położył Wiesmannowi na głowie takim gestem, jakim dorosły mężczyzna mógłby chcieć

zmierzić włosy dwuletniego dziecka. A potem zacisnął mu palce na czaszce i mimochodem

skręcił kark.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Towarzystwo na brzegu wpadło w panikę. Odyn

uniósł włócznię i w ułamku sekundy jednym ciosem przybił do pnia dwóch bliźniaków.

Natychmiast wyjął miecz długości

sporego dyszła i zamachnąwszy się,  
przeciął w pół kolejnego

razem z jego skórzanym płaszczem i  
razem z kołyszącym się na gałęzi  
wisielcem. Po czym

wpadł pomiędzy biegających panicznie i  
przewracających się o proporce ludzi.  
Odrąbana głowa

Vordingera przeleciała nad okrętem i  
plusnęła w wodę zatoki. Marynarze na  
pomocie w

osłupieniu odprowadzili ją wzrokiem.

– Dla ciebie kozi mocz, a nie miód  
Walhalli – tłumaczył z dołu Frenssen

monotonnym głosem.

– Runę „Thurs” ci rytuję czy rysuję... i trzy... znaki... ogień... śmierć i rzeka ostrzy... Coś o

węŜach... Tego nie rozumiem.

– Oerlikon, do strzału na wprost – wyrąbał Reinhardt. – Krótkimi seriami, cel na optycznej,

szykuj się.

– Nie ryzykowałbym – zasugerował Wichtelmann.

– Tam są nasi marynarze – odpowiedział Reinhardt i uniósł rękę, otwierając usta

do komendy.

Olbrzym teŝ wyciągnął rękę. Włócznia  
wyskoczyła z pnia i wróciła mu do  
dłoni, uwalniając

oba ciała, które runęły na ziemię.  
Obrócił ją ostrzem w dół i narysował  
coś na piasku, i w tym

momencie cały brzeg stanął w ogniu.  
Ogarnął go huczący, pomarańczowy  
płomień, jaki

Reinhardt widywał dotąd tylko na  
pokładach trafionych zbiornikowców.  
Znowu przykucnęli za

falochronem, chroniąc twarze przed

uderzeniem gorąca. Na brzegu rozległ się przeraźliwy,

chóralny wrzask płonących ludzi.

Trwało to kilka sekund, a kiedy wyjrzeli zza osłony, brzeg był pusty. Nadal rosła tam trawa,

nadal łopotały proporce, a jedynym śladem po Śarzu były niewielkie sterty jasnego popiołu

wysypujące się z leśających na ziemi, nietkniętych ubrań. Odyn zniknął.

Milczeli w osłupieniu, stojąc na pomoście, ale nic się więcej nie wydarzyło. Tylko wiatr

kołysał pustymi pętlami zwisającymi z konarów.

– Panie Wichtelmann – głos Reinhardta przerwał grobową ciszę. – Proszę zapisać w dzienniku

pod dzisiejszą datą: „Godzina ósma rano, przybicie do nieoznaczonej na mapie wyspy w rejonie

Islandii”, tu poda pan współrzędne ze zliczenia, „pasaŜerowie specjalni wraz z kapitanem

Ritterem schodzą na ląd w celu przeprowadzenia swojej misji. Dowodzenie okrętem przejmuje



Udo Reinhardt, pierwszy oficer.  
Godzina ósma trzydzieści pięć, atak  
lotniczy na brzegu,

odpowieź ogniem artylerii pokładowej,  
wszyscy uczestnicy desantu zabici w  
wyniku eksplozji

bomby fosforowej, na okręcie bez strat.  
Jako najwyższy stopniem na zasadzie  
prawa wojennego

przejmuję tymczasowe dowodzenie.  
Zarządzam powrót okrętu w rejon  
bazowania. Udo

Reinhardt. – ULF”.

Sporządzi pan szyfrogram o tej samej

treści, tylko doda pan, Œe czekam na  
rozkazy, i nada go pan

do dowództwa. Co pan tak patrzy? Nie  
nauczyli pana, Œe w komunikatach dla  
dowództwa floty

naleŜy unikać wspomnienia o syrenach i  
krasnołudkach? Wolałby pan:  
pasaŜerowie wraz z

kapitanem schodzą na ląd w celu  
dokonania krwawej ofiary i wzbudzają  
gniew germańskiego

boga, przypuszczalnie nazwiskiem  
Wotan lub Odyn, po czym giną poraŜeni  
jego ognistym

oddechem?

– Nadam ten radiogram – powiedział Wichtelmann, schodząc do centrali.

– Proszę nakazać przygotowanie tratwy ratunkowej, jeżeli jakaś została, i dać mi jednego

marynarza. Schodzę na ląd.

– Ale, panie pierwszy...

– Może ktoś przeżył. Panie Wichtelmann, przejmuje pan dowodzenie. Proszę nas osłaniać.

Wrócili dziesięć minut później w dwa pontony, przywołując trzy ocalałe empi i

ładownice

z magazynkami, Reinhardt odnalazł jeszcze pas z kapitańskim pistoletem. Zabrali teŜ dwie

nieotwarte jeszcze skrzynie.

– Jak pan sądzi, co tam jest? – zapytał Drugi.

– Nie wiem, ale są zapieczętowane. Coś mi mówi, Őe lepiej zabrać to z powrotem. Pod pokład z

tym. Do komory torpedowej. Z łodzi spuścić powietrze. Rwać kotwicę i cała wstecz. Wynosimy

się stąd.

\* \* \*

– Herr Kaleu... To od załogi. My...  
znaczy, w naszym imieniu,  
chcielibyśmy... – Bosman

trzymał w ręku starą czapkę Reinhardta,  
która zapodziała mu się natychmiast po  
odbiciu od

wyspy. Teraz patrzył znad stołu  
nakresowego, unosząc brwi. Czapka  
została oczyszczona,

pozrywane i rozplecione hafty  
naprawiono złotym bajorkiem, a denko  
obszyto nowym, białym

pokrowcem. Czapka dowódcy okrętu.

– Bosmanie... – powiedział powoli Reinhardt. – To bardzo miły gest. Doceniam... Ale nie

dostałem nominacji. To tylko tymczasowe dowództwo. Czapkę przyjmę, bo w końcu jest moja,

ale kategorycznie proszę nie tytułować mnie Kaleu. Widzi pan na moim rękawie trzeci pasek

Kapitänleutnanta? Nie? To proszę się trzymać regulaminu. Mimo wszystko nie jesteśmy okrętem

pirackim.

Wrócił do mapy.

– Sternik, jak długo płynęliśmy kursem na północ?

– Dwadzieścia osiem godzin, z marszową prędkością dwanaście węzłów.

– Proszę przyspieszyć i trzymać kurs dziewięćdziesiąt.

– Jest, kurs dziewięćdziesiąt.

Reinhardt wyszedł z centrali i zszedł na dół. Wahał się przez chwilę, ale w końcu pchnął drzwi

kapitańskiej kajuty i wszedł. Wciśnięta

pod ścianę koja, kilka półek, na ścianie  
mosiężny wieszak

z mundurem wyjściowym, obok ubranie  
sztormowe. Niemal nieuśzywane. Usiadł  
za biurkiem i

odpiął pas z kaburą. Pistolet kapitański  
wyglądał dziwnie obco, jakoś  
zagranicznie. Trochę

przypominał FN-kę, a trochę  
amerykańskiego automatycznego colta,  
ale nabito na nim

cechy niemieckie. P-35. Nie słyszał o  
takiej broni. Wpisane w trójkąt litery FB  
na okładzinach



rękojeści teŜ nic mu nie mówiły.  
Spodziewał się raczej walthera.  
Wysunął magazynek, po czym

przeładował dwukrotnie dla  
bezpieczeństwa i wrzucił pistolet do  
szuflady razem z kaburą.

Papiery na biurku kapitana leŜały  
starannie posortowane i pospinane,  
niektóre włoŜono do

specjalnych przegródek. „Na wojnie  
najwaŜniejsza jest sprawozdawczość,  
Reinhardt”.

Przy przymocowanym stalową taśmą  
kubku na ołówki i pióra stał maleńki  
szklany pingwinek.

Pingwinek zaniepokoił Reinhardta. Nie pasował do lodowatego belfra. Co to było? Pamiątka?

Amulet? Nie chciał wiedzieć.

Przypomniał sobie o makatce i zajrzał do koi.

Zacisnął szczęki i wziął kilka głębokich oddechów, po czym kciukiem i palcem wskazującym

usunął przypadkową wilgoć z kącików oczu.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem ostrośnie wydłubał pinezki, złośliwie makatkę

na czworo i pieczołowicie włożył do walizki z kapitańskimi rzeczami osobistymi. Razem z

dziecięcym rysunkiem przedstawiającym Śaglowiec, z podpisem „Tatuś wraca do Helgi”. Razem

ze zdjęciami Rittera trzymającego na kolanach dwie sześciolatnie dziewczynki, Rittera w

krótkich spodenkach bawiącego się z dużym wilczurem oraz kędzierzawej, ciemnowłosej kobiety

jadącej na rowerze przez łąkę, siedzącej na oplecionej różami werandzie albo stojącej na plaży z

ogromną piłką w rękach. Nawet niebrzydka. Pospolita, ale zgrabna. I wyraźnie młodsza od

Starego. Pomiędzy materacem a ścianą koi znalazł jeszcze jeden cienki plik zdjęć

przedstawiających tę samą kobietę, ale zupełnie innych. Stała naga z jedną nogą opartą o taboret i

bezwstydnie rozchyłała swoje wdzięki prosto do obiektywu albo leżała na łacie, albo...

Wrzucił je wszystkie do kuferka i zatrzasnął zamki. A potem siedział przy biurku z kamienną

twarzą.

– Przestań udawać człowieka, przeklęty skurwielu – wycedził z goryczą. – To tutaj, to była

twoja prawdziwa twarz. Nie odbierzesz mi mojego osądu, skurwysynu. Ani nie odbierzesz mi już

mojego okrętu.

Potem posiedział jeszcze przy biurku, patrząc przed siebie, i w końcu powiedział z uczuciem:

„gówno”.

Otworzył drzwiczki i wyszedł do mesy.

– Lotnik! Nadchodzi! Kierunek osiemdziesiąt! – wrzeszczano na pomocie.

– Ale, panie Oberleutnant, to nie jest samolot!

Ogromna kobieta galopowała na dzikim, prychającym pianą rumaku, naga, tylko w kolczudze i

z rozwianymi rudymi włosami pod miskowatym hełmem. Znajdowała się na wysokości dwustu

metrów i przecinała ich kurs przed dziobem.

– Scheiße! – warknął Reinhardt i zsunął czapkę na tył głowy. – Jak mnie to wkurza! Flak\*

alarm przeciwlotniczy, szykować się do salwy według rozkazu! Na razie czekać!

Szczęknęły zamki, obie lufy dwudziestek uniosły się i zaczęły się obracać.

– Ja pierdziele...! – wyrwało się komuś na pomoście.

– Spokój – wycedził Reinhardt. – Czekać!

Ktoś przełknął ślinę. Działko obracało się, kanonier siedział z nogą uniesioną nad pedałem

spustu, czekając na rozkaz. Druciany  
krąŜek kolimatora sunął przez niebo,  
prowadząc sylwetkę  
galopującej wojowniczk.

Minęła ich, po czym wydała z siebie  
przeraźliwy wrzask, który przygiął ich  
wzrost. Brzmiał jak  
dźwięk syreny nurkującego sztukasa.

Reinhardt zaklął i odpiął mikrofon  
interkomu.

– Sternik, jeden długi sygnał rogiem  
mgłowym!

Okręt zagrzmiął w odpowiedzi, ale



odgłos nie był aŜ tak imponujący.

– No tak, panowie – wycedził  
Reinhardt. – Walkiria. Ktoś chce moŜe  
zanucić Wagnera?

– Herr gott, gdzie my jesteŝmy, panie  
Oberleutnant?

– Według mnie, na Morzu Północnym. I  
płyniemy sobie chwilowo kursem na  
Islandię.

– Ale co to wszystko znaczy?

– Wiem tyle, co i pan. Moja rada –  
proszę się skupić na tym, co moŜna  
zrozumieć. Na swojej

wachcie. Musimy dopłynąć do Trondheim. Reszta jest bez znaczenia.

\* \* \*

– Pytam o możliwość pomiaru pozycji gwiazd?

– Bez zmian, panie Oberleutnant.

– To znaczy?

– To znaczy dalej to popierdzielone niebo, to znaczy, przepraszam – złudzenie optyczne okolic

polarnych.

– Nie rozumiem – powiedział

Wichtelmann. – Powinniśmy dawno opuścić tamten rejon.

– Co panu wyszło ze strzelania słońca?  
– zapytał Reinhardt.

– Przykro mi, ale namiary były błędne.

– Co to znaczy?

– Zrobiłem wszystko jak zawsze i wyszło mi, że jesteśmy pośrodku Sahary. To jeszcze nie

wszystko. Albo nasze kompasy są wadliwe, albo to słońce zachodziło na południu.

– Co takiego?!

– Główny Œyrokompas elektryczny i kompasy pomocnicze mogły się zepsuć, bo są elektryczne.

Ale kompas klasyczny wskazuje dokładnie to samo. Tylko Œe to się nie zgadza ze słońcem.

Obaj pokręcili głowami i ponownie spojrzeli na mapę.

– Właściwie to ja bym chciał zobaczyć jakiegoś Tomka. Cokolwiek normalnego. Statek,

samolot. Miałbym przynajmniej nadzieję, Œe moŒe nie zwariowałem. Tak to mam wraŒenie, Œe

wszystko mi się śni.

\* \* \*

O świcie rabanu narobił dyŝurny akustyk. Przez dłuŝszą chwilę nie mógł wykrztusić

sensownego meldunku. Nie chodziło o okręt nieprzyjaciela ani o nic, co umiałby zidentyfikować.

Słyszeć było szum. Potężny, przeciągły i niepowstrzymany, jak odgłos spadającej wody.

Reinhardt zabrał mu słuchawki i przez chwilę sam schylał się nad stanowiskiem, przyciskając

jedną słuchawkę do ucha z głupią miną,  
wreszcie wyszedł na pomost kiosku.

– Wał mgły na kursie, Herr  
Oberleutnant! – zameldował wachtowy.

– Na całym przednim

perymetrze!

Istotnie, okręt sunął prosto w ścianę  
białego oparu stojącą na całej  
szerokości morza i ta ściana

wyraźnie się zbliżała.

– Nie podoba mi się to! – powiedział  
Reinhardt. – Maszyny stop!

Równe łomotanie diesli zmieniło się w

odgłos jałowego biegu, ale okręt sunął z tą samą

prędkością, a nawet jakby szybciej.

– Oba wstecz! – krzyknął Reinhardt. Zarufą zagotowało się, ale okręt nadal płynął sennie do

przodu.

– Coś nas ściąga – powiedział Wichtelmann. – Jak prąd jakiś.

Reinhardt zszedł do centrali.

– Peryskop góra! Na całą wysokość!

Rozległ się wizg silnika i kolumna

peryskopu wyjechała wysoko nad kiosk.  
Reinhardt

przekręcił czapkę daszkiem do tyłu i  
wtulił twarz w muszlę okularu.

Trwało to chwilę, wreszcie odsunął się  
blady jak płótno.

– Cała wstecz! Pełna moc!

– Co tam jest?

Reinhardt wstał z siodła peryskopu.

– Koniec świata. Dogoniliśmy horyzont.  
Jak pan nie wierzysz, to sam sobie  
popatrz. – Pognał



po schodkach na pomost.

Istotnie. Morze kończyło się jak ucięte nożem, a wody przelewały się przez krawędź i spadały

w nicość, wzbijając chmury wodnego pyłu. Tak samo było aż do końca horyzontu. Ogromna

półkula nieba i gigantyczny wodospad od krańca do krańca.

Silniki wyły, za rufą kipiała woda, unosiły się kłęby czarnego dymu.

– Zwrot! Ostro! Ster sto! Cała naprzód!  
– wrzeszczał Reinhardt do interkomu.

Okręt, dygocząc jak koń chory na febrę,  
zaczął skręcać, ale czuło się, że jakimś  
nienaturalnie

szerokim łukiem.

– Lewy, mała naprzód, prawy, cała! –  
krzyczał Reinhardt.

– Nie zdążyliśmy – wyszeptał ktoś.

– Bzdura! Jechać!

Odwrócili się wreszcie rufą do  
przepaści i Reinhardt kazał dać pełną  
moc. Okręt ruszył, ale

wydawało się, że z każdym obrotem  
śruby zwalnia.

Silniki ryczały, a okręt płynął coraz wolniej.

– Panie Oberleutnant, ten prąd jest powierzchniowy! – krzyknął czif. – Uciekniemy pod wodą!

– Zanurzenie alarmowe! – ryknął Reinhardt bez namysłu. – Ruszać się! Pod wodę!

Prąd puścił dopiero na stu pięćdziesięciu metrach. Stopniowo, ale uwolnili się. Trwało to

prawie godzinę, podczas której siedzieli w milczeniu, patrząc na wskaźnik logu, wyłamując palce

albo wbijając pełen wysiłku wzrok w plecy sternika, który wyglądał, jakby popychał okręt siłą

woli.

– MoŜe log idzie, bo prąd nim kręci? – wyszeptał Drugi.

Reinhardt pokręcił głową.

– Nie. JuŜ byśmy spadli. Płyniemy!

Wrzask entuzjazmu niemal rozsadził okręt. Tylko Reinhardt siedział nieruchomo w mesie

i patrzył, jak klepią się po plecach, unoszą jeden drugiego i tańczą na

gretingach. Odczekał, a

wszystko się uspokoi.

– Płyniemy w przeciwną stronę –  
oznajmił. – Z powrotem do Asaheimu.

Euforia przycichła.

– Gdzie jest starszy marynarz Frenssen?

– W mesie torpedystów.

– Dawać go do centrali!

Frenssen był święcie przekonany, że  
staje do zaległego raportu za atak paniki  
na pomoście,

i szedł jak na ścięcie. Reinhardt popatrzył na jego szczenięcą gębę i poczuł się okropnie stary

i zmęczony.

– Frenssen, usiądzie pan z drugim oficerem w nawigacyjnej i opowie mu pan wszystko, co pan

słyszał od swojej babci. Weźmiecie papier i postaracie się sporządzić mapy tego całego

Asaheimu.

– Panie Oberleutnant, przecieŜ to bajki, zresztą byłem dzieckiem i...

– Wykonać, Obermatrose Frenssen!  
Przypomnijcie sobie! Jako jedyny  
wiecie, o co tu chodzi!

– Jawohl! Wykonać... mapę Asgardu...

\* \* \*

– Wie pan, co mi to przypomina  
najbardziej? – zapytał czif przy kolacji.

– No?

– Odyseję.

Reinhardt pokręcił głową.

– Nie ma tak dobrze. Odys mógł sobie  
Ŝeglować i dwadzieścia lat, ale my

musimy mieć

paliwo.

– Według tego małego Duńczyka  
Frenssena kluczem jest ten „tęczowy  
most”. On ma łączyć

światy.

– Popłynęliśmy dokładnie tam, gdzie  
był. Zniknął. – Reinhardt posmarował  
kawałek chleba

pasztetem i pokiwał głową. – Będziemy  
się teraz tak kręcić pomiędzy jakimiś  
karłami, Wanami,

Asami, aŜ którzyś nas załatwią albo



zabraknie paliwa. Mapa Frenssena nie daje nam wielkiego

wyboru. Czy chciałby pan popłynąć moŜe do Alfheimu, gdzie mieszkają karły, Świetliści

Alfowie, co to opiekują się zwierzętami, albo moŜe Czarni Alfowie, parający się kowalstwem?

Albo moŜe do Jottunheimu, gdzie mieszkają... – spojrzał na kartkę – Lodowe Olbrzymy? Nie

chce pan zwiedzić Őelaznego Lasu? To moŜe WybrzeŜe Trupów? Spodziewałbym się tam

kurortu. – Odgryzł potężny kęs i znów pokręcił głową z politowaniem. – Martwię się teŜ o ludzi.

Nie kaŜda psychika wytrzyma coŝ takiego. Dzisiaj rano ten Fliecke z „lordów” dostał szału.

Chciał gramolić się do kiosku i skakać za burtę. Trzeba było go związać. Teraz leŜy w przedziale

torpedowym. Doktor dał mu jakieŝ proszki, ale to się moŜe rozprzestrzeniać.

– A dlaczego nam nie odbija?

– Po prawie sześciu latach wojny? Mam

wraŝenie, Ŝe widziałem juŝ bardziej idiotyczne rzeczy.

Wypaliłem się. Nic mnie juŝ nie dziwi. Nie chce mi się juŝ nawet dziwić. I tyle.

– W kaŝdym razie w tej Walhalli chyba nie mamy juŝ czego szukać.

– Dziwi się pan? Pojawiliśmy się i na dzień dobry obwiesiliśmy drzewo stryczkami, po czym

odstawiliśmy miniwiec hitlerowski. Oto nasza wizytówka. Pan by z takimi gadał?

\* \* \*

– Co to znaczy, Ŝe akustyk słyszy

wołanie o pomoc? – zapytał Reinhardt  
cierpliwie mata

z centrali. – Pod wodą?

– Powtarzam meldunek, panie  
Oberleutnant.

Reinhardt wygramolił się z koi i ruszył  
na górę, zakładając po drodze koszulę.

– Ktoś woła po niemiecku, panie  
dowódco! Krzyczy, jakby okropnie  
cierpiał.

– PokaŜ! – ZałoŜył na chwilę słuchawki  
i pokręcił głową z niedowierzaniem. –  
Namiar?

– Kierunek dwadzieścia pięć!

– Ster dwadzieścia pięć! Zobaczymy, o co chodzi. Sternik, jechać według wskazówek

akustyka. Idę na górę. W razie zmian meldować.

Okręt sunął na krótkiej fali, było pochmurno i zimno.

Ląd ukazał się po półgodzinie dokładnie przed dziobem. Ciemnobrunatny pasek na horyzoncie,

potem coraz wyraźniejsze zęby skał, białe jak głowy cukru lodowce i zwały śniegu. Reinhardt

odpiął mikrofon.

– Ziemia na kursie! Czy te... głosy są nadal słyszalne?

– Coraz wyraźniej, Herr Oberleutnant.

Stanęli w dryfie jakieś dwieście metrów od skalistego brzegu. Krzyk było słychać zupełnie

wyraźnie, już bez pomocy aparatury. Zachrypli, przeciągli, pełen cierpienia, ale mocny.

Drugi oficer wyszedł na pomost, przynosząc kawę i śując chleb z kiełbasą.

– Nie wydaje się to panu dziwne?  
Wołanie o pomoc po niemiecku? Tutaj?

– Nie umiem ocenić, panie Wichtelmann.  
A latająca goła cizia nie wydaje się  
panu dziwna? Co

tu tak naprawdę uznać za dziwne?

– Wchodzimy do tej zatoki?

– Tak. Niech pan kaŜe obsadzić działa.

Wąska, otoczona skałami zatoka była  
wystarczająco głęboka, Ŝeby  
wprowadzić tam okręt, ale

płynęli jak najostroŜniej. Obie  
wieŜyczki obracały się z burty na burtę.

Na pomoście bojowym

Obermat Lietzmann założył do kaemów  
bębny amunicyjne, trzasnął suwadłem i  
wpasował

ramiona w obszyte skórą kolby.

Panowała cisza. Krzyk ustał. Oficerowie  
zastygli z lornetkami

przy twarzy, przepatrując kaŜdy  
centymetr skalistego brzegu.

Zaskrzeczała mewa. Kawalek

lodowca oderwał się z trzaskiem i  
zjechał do wody.

– Co to za dźwięk?



– To pękający lód, panie Oberleutnant.  
Lód tak skrzypi. Topi się i zaraz znowu  
gdzieś się

oberwie.

– Ale gdzie?

Skrzypiało i trzeszczało coraz głośniejszy,  
aŜ zauwaŜyli, gdzie. Kawał lodowca  
pokrył się

bliźniaczymi pęknięciami, ale zamiast  
odpaść uniósł się do góry, ukazując  
szklistą, białosrebrną

twarz wielkości fasady małego ratusza.  
Nieprzyjemną twarz, dziką, z  
wybałuszonymi oczami

lśnjącymi zimnym, niebieskim blaskiem  
acetylenowego płomienia i pełną  
wyszczierzonych kłów

jak dwumetrowe sople. Na pokładzie  
zapanowała głucha cisza. Potwór,  
klęczący dotąd na

brzegu, zaczął wstawać i prostować się,  
gubiąc płyty lodu, potrzaskując i  
skrzypiąc. Miał z osiem

metrów wzrostu.

– Szronowy olbrzym – wyszeptał  
Frenssen.

– Silniki cała wstecz, pelotki,  
przygotować się do otwarcia ognia... –

powiedział spokojnie

Reinhardt.

Potwór rozwarł karykaturalną, półludzką paszczę i wydał z siebie ryk, który brzmiał

ogłuszająco, lecz nisko, jakby pękał lądolód Arktyki. Ni to trzask, ni przeciągły grzmot, który

ściął wody zatoki jęzorem szronu i dmuchnął im w twarze piekącym mrozem. Lęk marynarzy

utonął w tym ryku, część padła na kolana, zatykając uszy, ale w tym samym momencie spadł na

nich suchy łomot oerlikonów. Brzeg porósł nagle ognistymi krzakami eksplozji pocisków

przeciwlotniczych zasypujących zatokę odłamkami. Potwór poruszał się jak błyskawica i jakimś

cudem pozostał nietknięty.

– Pudło! – wrzasnął Reinhardt. – Na stu pięćdziesięciu metrach, skandal! Poprawić!

Olbrzym skulił się i zaskakująco szybko pomknął pomiędzy skałami, wokół niego

ekspłodowały pociski przeciwlotnicze. Lód i kamienie wybuchały mu pod

nogami i tuŜ za

zgarbionymi plecami, ale nie moŜna  
było ocenić, czy cokolwiek mu  
zaszkodziło. Lietzmann

pogonił go jeszcze strumieniami  
pocisków ze swoich jazgoczących  
kaemów, ale bez większego

efektu. Kanonierzy kręcili korbami jak  
szaleni, obracając oerlikonem. Gorące  
łuski sypały się do

wody.

Olbrzym ukazał się znowu, unosząc nad  
głową kawał lodu wielkości traktora, i  
zamachnął się.

– Uwaga! – wrzasnął Reinhardt. – Ster lewo! Cała wstecz!

– Całkiem jak Polifem – zadrwił drugi oficer. Bryła lodu przeleciała z szumem nad pokładem i

rąbnęła dziesięć metrów od burty, wyrzucając słup wody i potrzaskanego lodu. Okręt zakołysał

się, wielki kawał lodu rozbryznął się o kiosk, przewracając artylerzystów. Celowniczy schował

głowę w ramiona i obrócił korbami, po czym nadepnął na spust. Lufy działka dziobowego

wypluły strugę ognia, cel utonął w dymie, fontannach odprysków i rozpylonego śniegu. Na

zatokę i okręt posypał się grad odłamków. Kiedy się uspokoiło i Reinhardt wychylił się zza

falochronu, wszystko dookoła, brzeg i skały, zbryzgane było zabarwionym na czerwono

śniegiem, hałdami kryształków przypominającymi malinowy sorbet, które dopiero teraz zaczęły

topnieć i płynąć jak krew.

Nad zatoką eksplodował zwycięski

wrzask.

– No dobra. Artyleria, pozostać na stanowiskach. Ponton i dwóch ludzi do desantu – zawołał

Reinhardt. – Bosman, wydać trzy automaty. Panie Wichtelmann, proszę być gotowym przyjąć

nas na pokład w kaŝdej chwili. I niech ktoś obudzi doktora.

– Marynarz ranny! – rozległ się krzyk od dziobowej wieŝyczki.

– Co się dzieje?

– To Frenssen, Herr Oberleutnant.



Rzuciło nim o właz komory amunicyjnej.  
Nieprzytomny,

ale chyba Śyje. Ma rozwalony łeb.

– Pod pokład z nim, niech doktor go  
opatrzy.

– Chyba nie powinien pan iść – odezwał  
się Wichtelmann. – To nierozsądne, Śeby  
dowódca

szedł na zwiad. Pójdę z bosmanem i...

– Nie, panie drugi. Trochę to trudno  
wytłumaczyć, ale chcę choć raz zrobić  
coś jak człowiek.

Rozumie pan? Nie rozstrzelać rozbitka,

nie spalić bezbronny kuter, nie powiesić  
jeńców, tylko

postąpić po ludzku. Na przykład  
zareagować na wołanie o pomoc i  
pomóc komuś. Nie Œeby go

zaraz obrabować, zatłuc albo wysłać do  
obozy i zrobić z niego mydło. Chcę coś  
zrobić jak

człowiek, raz w Œyciu, rozumie pan?  
Prześladuje mnie myśl, Œe zmuszono  
mnie do oszukańczej

gry.

Reinhardt zapiął pas z kapitańskim  
pistoletem, przewiesił przez ramię

automat i wziął jeszcze

ładownicę z pięcioma magazynkami.

Nad skałami znowu popłynął nagle rozpaczliwy jęk, i okrzyk: „Ludzie, pomocy! Ratunku!”.

Ziemia zadrżała lekko i przez zatoczkę przebiegły fale.

– Idziemy. Bosmanie, niech pan weźmie jeszcze linę i granaty. Kto jeszcze idzie?

– Fanghorst, panie pierwszy.

Wspinali się ostrośnie między skałami, grzęznąc w śniegu, przygięci i niepewni, jakby

odzwyczajali się od nieruchomego ładu.  
Reinhardt zadyszał się, dotarłszy na górę  
klifu, i

przerzucił empi za plecy.

– Skąd dochodzi ten wrzask?

– Tam. Pod tą skalną ścianą, widzi pan?

Przed nimi wznosiła się ponura ściana z  
płytką pieczarą. Krzyk dochodził  
stamtąd.

Reinhardt odciągnął suwadło i  
przewiesił automat przez pierś.

– Coś się tam rusza. Ja i bosman idziemy  
na skrzydle, pan, Fanghorst, w

ariergardzie. Nie

strzelać bez rozkazu.

– Coś stamtąd wycieka, widzi pan?

Spod tego nawisu. Paruje i ziemia

wygląda tam jak

wypalona.

Podeszli do pieczary z obu stron,

wzdłuŜ ściany. Reinhardt przyklęknął i

zajrzał ostro. Nie pod

nawis akurat w momencie, kiedy

rozbrzmiał stamtąd ogłuszający krzyk.

Cofnął się natychmiast,

krzywiąc twarz, po czym zajrzał jeszcze

raz. Z pieczary wypłynęła struga  
cuchnącego ostro,

dymiącego płynu. Wydawało się, że  
kamienie parują i kipią w zetknięciu z  
cieczą.

Pod skalnym nawisem leżał nagi  
męszczyzna rozkrzyżowany na skałach,  
ramiona miał skute

kajdanami, a z góry, gdzieś ze stropu  
jaskini, sączył się cuchnący, parujący  
płyn, prosto na

pokrytą czerwonymi oparzeniami twarz.  
Przy jego głowie klęczała półnaga  
dziewczyna o

skołtunionych włosach, okryta jakąś niemożliwie brudną i podartą szmatą. Trzymała w dłoni

misę, usiłując chwytać strumyczki cieczy i chronić głowę mężczyzny. Na przedramionach miała

takie same ropiejące blizny, jakie znaczyły twarz i pierś mężczyzny. Misa dygotała w jej

dłoniach. Włosy okrywały umorusaną twarz i Reinhardt widział tylko oczy. Wielkie i przerażone.

– Proszę, pomocy... To mój mąż, jad się zaraz przeleje, ja muszę opróżnić misę... Błagam...

PomóŜcie nam...

Płyn istotnie wypełniał juŜ naczynie.  
Dziewczyna pochyliła się i chlusnęła  
cuchnącą cieczą

poza jaskinię, ale kilka kropli spadło  
natychmiast na twarz męŜczyzny,  
tworząc parujące wŜery.

Ten wypręŜył się konwulsyjnie i  
wrzasnął przeraźliwie. Z sufitu posypał  
się piasek, ziemia

zadrŜała.

– Bosmanie, proszę wziąć misę od pani  
– powiedział Reinhardt. – Spokojnie,  
pomoŜemy wam.



Niech pani usiądzie. Co to jest? Co to za płyn?

Dziewczyna niechętnie oddała naczynie, po czym osunęła się na ziemię, dygocąc

z wyczerpania. Skuty mężczyzna zajęczał rozpaczliwie. Był półprzytomny z bólu.

– To jad... Tam jest wąs... Jego jad ścieka na twarz mego męża dzień za dniem i rok za rokiem.

Chwytam jad w misę; kiedy jest pełna, wylewam... Rok za rokiem...

– Co ona gada, panie pierwszy?

– Nie wiem, ale faktycznie coś się rusza tam na górze. Niech pan czeka, najważniejsze

łańcuchy.

– MoŜe przynieść palnik acetylenowy z okrętu?

– Szkoda czasu. Te łańcuchy oplatają skałę i kończą się za tamtą ścianą. MoŜe je rozsadzić?

– A nie zawali jaskini?

– Jest solidna, a to tylko granat. Tam z tyłu jest wielka komora. Nie będzie skoku ciśnienia.

Reinhardt wczołgał się za skałę i  
wepchnął granat pomiędzy ogniwa  
łańcucha, odkręcił

nakrętkę trzonka, wydobył sznurek z  
zawleczką na zewnątrz, po czym  
przywiązał do kółka

kawałek linki. Potem znalazł wilgotną  
glinę i ulepił z niej zatyczki do uszu,  
Ŝeby zabezpieczyć

męŜczyznę. Na koniec obwiązali mu  
nogi liną i wyprowadzili dziewczynę  
pod skałę.

– Będę musiał wylać ten szajs – ostrzegł  
bosman. – Cuchnie jak kwas  
akumulatorowy i iperyt

naraz. Zaraz się przeleje.

– To wylewaj pan, nie ma rady. –  
Reinhardt zajrzał ostroŚnie w górę  
jaskini i wydawało mu się,

Śe widzi płaski, trójkątny łeb wielkości  
maski cięŚarówki, nieruchomy jak  
krokodyl w

hamburskim zoo. Z rozchylonej paszczy  
kapał jad, jak rzadki, trujący deszczyk.  
Wydawało

mu się, Śe widzi bladoŚółte oczy  
rozmiaru melonów.

– Nie mogę trzymać misy, jak będziemy  
detonować granat. MoŚe pogonić to

bydlę seria?

Reinhardt wpakował w górę ogłuszającą  
serię z empi, po czym szarpnął za  
sznurek i obaj

uciekli z jaskini. Kiedy strzelał, tam w  
górze coś eksplodowało konwulsyjnym,  
wijącym się

ruchem, jak gigantyczna, zwolniona  
sprężyna.

Huknęło, dopiero kiedy Reinhardt był  
już całkiem pewien, że to niewypał.  
Pomarańczowy

rozbłysk, potem z pieczary zionęło  
kłębamii dymu. Pociągnęli za linę i

męŹczyzna wyjechał na

wznak na ŹwieŹe powietrze. Był nieprzytomny, a zerwane łańcuchy ciągnęły się za nim po ziemi.

Powlekli go między sobą łaką w kierunku klifu. Dziewczyna snuła się za nimi, potykając się

z wyczerpania i chlipiąc. ZdaŹyli zrobić połowę drogi, kiedy Reinhardt zerknął przez ramię

i zobaczył ogromny, pokaleczony pysk pokryty łuskami wyjeŹdŹający z pieczary niczym

szarŹujący czołg. Fanghorst przyklęknął

i zaczął strzelać.

Reinhardt upuścił rannego i uniósł automat, naciskając spust. Bosman zamachnął się i posłał

syczący granat prosto pod sunący łeb.

– Padnij!

Eksplozja targnęła sucho powietrzem, z góry posypały się kamienie, kawałki darni i bryły lodu.

Wąs zwinął się w miejscu ścigany kolejnymi strumieniami pocisków i zanurkował w głąb

pieczary. Reinhardt wstał i odpiął

magazynek.

– JuŜ? Pusty? AleŜ to szybko idzie. Nie jestem pewien, czy go trafiłem. Nie miałem tego

w ręku od szkółki.

– A ja jeszcze nigdy nie strzelałem z empi – powiedział Fanghorst. – W szkółce dali nam

mauzery. Jak na polowanie.

– Zabierajmy się stąd. A gdzie jest delikwent? MęŜczyzna zniknął. Nie było teŜ śladu jego

towarzyszki. Zostali sami.



– Trochę głupio – skonstatował Reinhardt. – Przynajmniej rozprostowaliśmy nogi.

\* \* \*

– Jadł ściekał mu na twarz?! – pytał Frenssen. Miał obandaŝowaną głowę i szwy pod okiem

zaklejone opatrunkiem, ale trzął się z wraŝenia. – Kobieta podstawiała misę?!

– Przecieŝ wam mówię.

– Jezu, panie Oberleutnant, czy pan wie, coście zrobili?

– Uwolniliśmy torturowanego człowieka

wzywającego pomocy – zauwaŜył sucho  
Reinhardt,

nabijając fajkę.

– PrzecieŜ to był Loki! Loki! Bóg-  
oszust, który został zakuty, Ŝeby nie  
sprowadził końca

ŝwiata i zagłady! To on wywoła  
Ragnarok – wiek ciemności i ostatecznej  
bitwy, w której

wszystko przepadnie! Zginą bogowie i  
cały ŝwiat pogrąŜy się w mroku!

– Trudno. JuŜ się stało. Niech pan nie  
rozpacza. Co pana obchodzi koniec  
ŝwiata

skandynawskich bogów? My musimy znaleźć tylko ten cały Bifrost i wynieść się stąd.

– Panie Oberleutnant! Nasłuch ma sygnał radiowy! Bardzo silny!

Reinhardt pomknął do centrali, przeskakując stopnie.

– Co to za częstotliwość?

– Eee... – powiedział radiotelegrafista.

– Nadaje na wszystkich częstotliwościach. Na fonii.

– Dawać na głośnik!

Najpierw zatrzeszczało jak zdarta płyta,

po czym rozległo się monotonnym głosem: „Loki do

kapitana ULF. Loki do kapitana ULF...”.

– Tu dowódca ULF, Oberleutnant Reinhardt. Słucham?

„Chciałbym podziękować... Uratował mnie pan. Możemy porozmawiać?”.

– Rozmawiamy przecieŜ.

„Normalnie – w cztery oczy. Czekam na brzegu. Bez odbioru”.

– Panie Oberleutnant, niech pan nie idzie! To oszust! Bóg zła!

– Mam doświadczenie, Frenssen. Taki sam wieształ mi Krzyś Rycerski na szyi. Wychodzę na

pomost. Zamknąć wszystkie włazy. Wchodzę do pierwszej wieŝyczki przeciwlotniczej. Jeŝeli nie

odezwę się przez interkom, to znaczy, ŝe zginąłem. W takim razie idźcie w zanurzenie i

wychodźcie z zatoki. Wichtelmann, przejmuje pan dowodzenie.

– Aha, Herr Oberleutnant... Zajrzeliśmy w tamte skrzynie. Na moją odpowiedzialność.

Miałem nadzieję na mapy albo  
cokolwiek, co pozwoli znaleźć nam  
drogę powrotną. Stanę do

raportu, jeśli...

– Dobrze już. Co w nich było?

– Paznokcie, Herr Oberleutnant. Obcięte  
ludzkie paznokcie. Rzygać się chce.

– I nic więcej?

– Nic.

\* \* \*

Reinhardt wyszedł na pomost i tupnął  
we właz.

– Zamykać!

Właz opadł, słysząc było trzask rygli. Reinhardt przede wszystkim starannie rozpalił fajkę.

Następnie wgramolił się na stanowisko strzelca i sprawdził stan bębnow amunicyjnych działek.

Były wypełnione.

Bóg-oszust siedział na brzegu wśród skał oparty wygodnie o ścianę skalną. Miał teraz ze

cztery metry wzrostu, lekko świetlistą skórę i co chwila przykładał do twarzy kompres z chusty,

który moczył w misce wielkości  
pokaźnej wanny. Jednak poza tym nie  
robił wrażeń specjalnie

zmasakrowanego. Wyglądał teraz jak  
atletycznie zbudowany, długowłose  
młodzieniec.

Reinhardt odciągnął po kolei oba zamki,  
po czym zakręcił korbami, obracając  
działo w stronę

rozmówcy. Lufy oerlikona opadły, a  
potem wieżyczka przekręciła się w  
lewo. Druciany krąg

kolimatora zawisł na wprost piersi  
olbrzymia.



– Co pan robi, kapitanie? – zapytał Loki aksamitnym głosem.

– Powiedzmy, że wyrównuję szanse. Nie dysponuję boskimi atrybutami, ale mam sprzęt

działka przeciwlotnicze dwadzieścia milimetrów. Wystrzeliwiają ze trzysta pocisków na minutę z

jednej lufy. Są zaprojektowane do niszczenia celów powietrznych. Zapewniam, że z takiej

odległości rozniosą na strzępy wszystko, co się znajduje na brzegu. Jeśli nawet jesteś

nieśmiertelny, będziesz się zbierał z maleńkich kawałków. Wystarczy, Œe nacisnę ten pedał.

TakŒe padając.

– Tak, widziałem, co pan zrobił biednemu Eggdirowi. Nie był moŒe specjalnie mądry, ale to

coś zmieniło go w śnieg w jednym błysku. Jest pan niebezpiecznym wojownikiem, kapitanie.

– Tylko kiedy ktoś wejdzie mi w drogę.

– A jednak nie ma pan powodu do mnie strzelać.

– Wykorzystałeś mnie. Jesteś bogiem-  
oszustem, który zniszczy świat,  
sprowadzi zagładę

i rozpęta wieczną wojnę.

– Oczywiście. To część faktów. Wiem o  
tym, odkąd się urodziłem, i wszyscy inni  
teŜ o tym

wiedzieli. A mimo to mi dokuczali. My  
tu nie mamy łatwych charakterów.  
Zwłaszcza Asowie.

Nawet pan sobie nie wyobraŜa, jak to  
jest dorastać w takim środowisku.  
Dobrze – ja teŜ im

dokuczałem, ale tylko po to, Ŝeby coŝ

się działo. Przecieś to trwa juś prawie pięćdziesiąt tysięcy

lat. Narodziłem się pod koniec paleolitu. Jeszcze trwała epoka lodowcowa, ma pan pojęcie?

Zresztą, posługiwali się mną. Kiedy chcieli kogoś wykiwać, okraść albo mu nie zapłacić, ja

załatwiałem sprawę. Bo jestem zły, pan rozumie? Widzi pan ten paradoks? Dobry Odyn chce

mieć nieprzebyty mur wokół Asgardu i czym kusi budowniczego? Freją. Potem, oczywiście, do

mnie z płaczem: „Zrób coś, nie chcę,  
Ŝeby ten olbrzym rŃnął mi Freję!” On  
nie moŃe nikogo

oszwabić. Przepraszam za to określenie.  
Od tego jestem ja – zły bóg-oszust. Więć  
załatwiam

sprawę. Istotnie. Sprowadzę na cały ten  
burdel Ragnarok. Jak pan widzi, jestem  
najzupełniej

szczyry. Zrobię to poniekąd dzięki panu,  
bo uwolnił mnie pan z łańcuchów.

– Jakoś chyba czujesz się juŃ lepiej –  
zauwaŃył Reinhardt kwaŃno. – Ja nie  
zdaŃyłem zmienić

przemoczonych butów ani wypić herbaty. A tobie nie tylko wygoiła się twarz, ale i urosłeś ze

dwa metry z okładem.

– Och, no przecieŜ jestem bogiem, mimo wszystko! Zresztą, twarz trochę mi jeszcze dokucza.

Blizny i dzioby juŜ chyba zostaną. Widział pan, w jakim byłem stanie? To trwało gdzieś od

siedemsetnego roku. Tysiąc dwieście czterdzieści cztery lata tortur! Skoro chcieli mnie

unieszkodliwić, mogli darować sobie

ten jad, prawda? Zwłaszcza Œe s niby tacy szlachetni?

– Jednak coŒ mi zawdzięczasz, prawda?

– Do czego pan zmierza, kapitanie?

PrzecieŒ to ja prosiem o t rozmow, to znaczy, Œe chc

si odwdziezy.

– Œwietnie. Chcemy znale Bifrost i przepyna nim w drug stron.

– Aj, zaraz Bifrost i Bifrost!

Porozmawiajmy najpierw. PrzecieŒ most panu nie ucieknie.

– Loki, jeŒeli uznam, Œe kreisz i Œe nie

dojdę z tobą do ładu, odpalam. Daję całą wstecz

i wychodzę z zatoki. Bifrost mi uciekł właśnie. Nie ma go tam, gdzie był.

– Nie oszukuję, kapitanie. Szczerze mówiąc, pan już został wkręcony i to wcale nie przeze

mnie.

– Co to znaczy?

– No... Asgard to jest w zasadzie zaświat. Trochę lepszy niż Helj, ale... No, sam pan wie, jak i

dlaczego trafia się do Walhalli.



– To znaczy, Œe ja nie Œyję? I cała załoga?

– Œeby to było takie proste. Wtedy by pan tu moŒe nie trafił, chyba Œe jest pan Œarliwym

neopoganinem. Ale i wtedy przecieŒ nie okrętem, w czapce i w ogóle. Siadłby pan w Dworcu

Odyna, by pić miód bohaterów, i tak dalej. Pan tu wpłynął Œywcem. Jako pierwszy od bardzo

dawna. Dzięki magii. Ale wypłynąć... – Loki pokręcił głową.

– Œyję czy nie?

– Technicznie rzecz biorąc...

– Rzeczowo, Loki.

– Jest pan pomiędzy. Zawieszony.  
Musiałbym panu wytłumaczyć, jak to  
jest z Nornami i ich

linią losu, co zmienia napiecie się ze  
źródła Urd, na przykład. To nie jest takie  
proste, Œe wszystko jest zapisane. Mamy  
wolną wolę, ale ona jest częścią osnowy  
tego, co tkają Prządki.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Wiedziałem. To najłatwiej pokazać  
matematyką... Dobra. Spróbujemy  
inaczej. Zniknął im

pan z radarów.

Prządkom. Uznany za zaginionego. I przeszedł pan w zaświaty. Pan nie ma obecnie losu.

Załoga teŜ nie. JeŜeli wrócicie, to prosto pod bomby. Albo na celownik niszczyciela. Verstehen?

– Dlaczego?

– Bo tamten świat chce wrócić do równowagi. Tak jest skonstruowany. Odrobina magii od

razu wywołuje reakcję obronną. Teraz jest tak, jak byście juŜ nie Ŝyli. Rzeczywistość waszego

świata moŜe to kupić. NajwyŜej trochę zafaluje. Ale kiedy wrócicie, postawicie ją na głowie.

Uruchomicie wszystkie zabezpieczenia. Mogę pomóc wam znaleźć Bifrost, kapitanie. Ale niech

pan się zastanowi, czy warto.

– Ja muszę się jeszcze zastanowić, czy aby to wszystko, co mówisz, to nie jest lipa.

– Dobra. Przyznaję, Ŝe nie jestem tego pewien tak na sto procent. Natomiast jest to wysoce

prawdopodobne. Ale przyjmijmy, Ŝe się

myle. Przypuśćmy, że wypłyniecie i nic się nie stanie.

Co będzie dalej? Będzie pan atakował konwoje? Ma to sens i szansę powodzenia? Ile pan poświęca,

próbując toczyć tę wojnę? Ona potrwa do maja 1945 roku. Do Berlina wejdą Rosjanie. Pańskie

Drezno zostanie zbombardowane.

Totalnie. Alianci też popełniają błędy. Ktoś sobie wymyśli, że

to was powinno złamać, i rozpieprzy to miasto do zera. Nic im to nie da i w zasadzie będzie im

potem głupio, ale domu ani rodziny już  
pan nie będzie miał. Z kolei Trudi...

Przykro mi to

mówić, ale w końcu zorientowali się, że  
jest w jakiejś części sydówką, i  
wywieźli ją do Dachau.

Już nie żyje. Hitler strzelił sobie w łeb,  
niektórzy uciekną, innych powieszają,  
zachodnią połowę

pańskiego kraju zajmą alianci i tam po  
jakimś czasie da się żyć jeszcze jakoś,  
wschodnią zabiorą

Rosjanie i zrobią z niej kraj  
komunistyczny. Pan sobie wyobraź, jak  
się żyje w kraju Prusaków

udających komunistów? Do tego trzeba będzie być z piętnem hańby. Dlaczego? Pan pamięta te

plotki o obozach? No, to wszystko prawda, tylko że jest sto razy gorzej, niż pan myślał. To się

działo na skalę kilku milionów ludzi. Bezbronnych cywili. Tego to wam świat nie daruje. A pan

jest podwodniakiem, za wami też nikt nie przepada. Zatapialiście cywilne statki. Słowem – mam

dla pana lepszą propozycję.

– Słucham.

– Ragnarok.

– Strzelam.

– Chwileczkę! Jest pan Œołnierzem.  
Œeglarzem. Czy pan rozumie, czym jest  
Ragnarok?

– Bezsensowną, krwawą zawieruchą.  
Apokalipsą. Zniszczeniem dla  
zniszczenia, byle

wszystko rozpieprzyć. Dziękuję, juŒ  
brałem w czymś takim udział.

– Nie! – krzyknął Loki. Od jego okrzyku  
ziemia zadrŒała, od lodowców  
oderwało się kilka



płaskich tafli lodu i runęło w wodę. –  
Przeklęta propaganda! To będzie ogień,  
który strawi świat,

prawda. Wiesz, dlaczego chcą go za  
wszelką cenę powstrzymać? Œeby  
zachować status quo! Bo

im odpowiada świat taki, jaki jest! A  
tobie odpowiada? A teraz powiem ci, o  
co będę walczył.

Tak! Uwolnię wilka Fenrira! Zbuduję  
straszliwy Drakkar z trupich paznokci,  
zwany Naglfarem!

Tak, Œciągnę armię Olbrzymów, Surta i  
Byleipta. Tak! Powalę wszystkich  
bogów. A potem?

Posłuchaj:

*Rola nieobsiana będzie rodziła*

*Zło w dobro się przemieni; Baldr wróci*

*Na Hropta boiskach zamieszka Höd i  
Baldr*

*W świątyni bogów – wiecie teraz czy  
nie?*

*Salę widzę, od słońca piękniejszą,*

*Dach złotem kryty, na Gimlei*

*Sprawiedliwi tam mieszkać będą*

*Szczęścia wiecznego doznawać będą.*

Tak mówi wieszczba o świecie, który  
nastanie po mojej wojnie. Wszyscy o  
tym wiedzą. Ja

tego nie wymyśliłem. I Asowie, i  
Wanowie, i wszyscy! Wiedzą! Powiedz  
mi, panie kapitanie: nie

warto? Raz cię namówiono, Ŝebyś  
podpalił świat. W nikczemnej sprawie.  
Złamali ci Ŝycie i

zrobili z ciebie wilka. Wojownika.  
Będiesz potrafił uczyć w szkole albo  
przybijać pieczętki na

poczcie? Napij się miodu, kapitanie.

– Siedź, gdzie siedzisz – wycedził

Reinhardt. – Myślę.

Loki nalał miodu do rogu, a potem dmuchnął lekko na wodę i postawił róg pionowo na tafli.

Naczynie zakołysało się jak boja, po czym miękko popłynęło w stronę U-Boota, aŜ stuknęło o

pancerz zbiornika balastowego.  
Wystarczyło pochylić się i sięgnąć.

Reinhardt wypił łyk.

– Ci, którzy nas tu sprowadzili,  
przy płynęli z podobną propozycją –  
zauwaŜył. – I Odyn

rozniósł ich na strzępy.

Loki zaśmiał się i pokręcił głową.

– To zupełnie inna sytuacja. Słuchaj, można o Starym powiedzieć niejedno, ale nie jest głupi.

Nie jest głupi. Zwłaszcza on, który oddał własne oko za wiedzę. Przecież dobrze wiedział, co to

za jedni. Przyłączyli, powiesili kilku bezbronnych i rannych jeńców – w prezencie dla niego,

uważasz – po czym usiłowali mu wmówić, że jest taki sam jak oni i jeszcze że ma walczyć dla

chwały ich małego, pokręconego tyranka. On – Odyn! Wiesz, dlaczego nazywają go Hangagud,

„Bóg powieszonych”? Przecież nie dlatego, że lubi egzekucje albo wieszka bezbronnych! On się

sam powiesił! Sam złożył się sobie w ofierze, żeby uzyskać moc run. Albo by ją osiągnął, albo

skisł na tym drzewie! Udowodnił, jak wiele może poświęcić, żeby uzyskać tak cenny dar! To

było poświęcenie! A oni ofiarowują mu tchórzliwe morderstwo. Nic dziwnego, że się wściekł. Ci

głupcy nie wiedzieli nawet, że jego wyobrażenia jako dzikiego okrutnika to późniejsza

chrześcijańska propaganda. Nie. Ja mam inną propozycję. Posłuchaj, kapitanie. Bądź szczerzy sam

ze sobą. Wejrzyj głęboko w swoją duszę i posłuchaj. Co ci zostało? A gdyby tak podpalić świat

naprawdę? Naprawdę sfajczyć to wszystko – politykę, hipokryzję, Hitlerów, Stalinów, ale i

Churchillów, adwokatów, tych, co pierwsi rzucą kamieniem, i tych, co zawsze mają wszystko na

tacy, tych, co wszystkiego się domagają,  
i tych, co rozdają przywileje? Sfajczyć  
cały ten

spleśniały świat, niech go zetnie mróz i  
niech po nim odrodzą się wreszcie  
szczęśliwe łąki?

Spójrz w swoje sumienie! Po której  
stronie chcesz stać podczas ostatniej  
bitwy? Nieskalanych,

świeatlistych hipokrytów, którzy chcą  
chronić Republikę Jest Jak Jest? A moŜe  
desperatów, którzy

chcą walczyć o marzenia albo zginąć?  
Kim pan jest, kapitanie? Czy to nie  
brzmi dla pana



znajomo? Pociągająco? Lepiej być  
piratem czy niewolnikiem, Reinhardt?  
Niech pan posłucha.

Miałem zbudować Drakkar.  
Przeróżający okręt, który zanieśie  
ostateczną bitwę wrogom.

Budzący przerażenie Naglfar  
zbudowany z trupich paznokci. Ale tak  
pomyślałem – czy to musi

być Drakkar? A gdyby to tak był  
oceaniczny okręt podwodny typu XXI?  
Nie bezimienny U -

ileś tam pływający na posyłki jakiegoś  
kretyna? Moje karły potrafią skopiować  
wszystko. Wezmą

ten okręt na wzór i wkrótce powstanie  
przeraŝający „Naglfar”, który przyniesie  
spleśniałemu

świata zawieruchę. U-Boot z trupich  
paznokci. Sześć wyrzutni torpedowych.  
Działa

przeciwlotnicze. I pan. W białej czapce  
dowódcy.

Reinhardt pociągnął łyk miodu. Milczał.

– Słucham? – zapytał Loki.

Reinhardt wstał.

– Muszę pogadać z załogą.

– Będę czekał. Nie spiesz mi się.

\* \* \*

Jednak przepływamy przez Tęczowy Most. Tam i z powrotem.

Potrzeba paznokci. DuŜo paznokci.  
Przestaliśmy się juŜ na to krzywić. W  
zręcznych dłoniach

karłów z Nilfheimu trupie paznokcie  
stają się kowalne jak metal. Zmieniają  
się w doskonały,

lekki i wytrzymały materiał, z którego  
mogą zbudować wszystko. Czasem  
wchodzimy do jaskini

zmienionej w suchy dok, Œeby popatrzeć  
jak stawiają wręgi, zabudowują  
zbiorniki balastowe, jak

układają kolektory szasu, kadłub  
sztywny, klapy wyrzutni. Patrzyć na  
lśniące złotem, srebrem i

platyną kartery diesli, na dźwignie i  
przełączniki tablic sterowania lśniące  
złotem i polerowaną

kością. Patrzymy na pęki iskier ze  
spawarek, słuchamy huku nitownic.

Jest piękny.

Pod zręcznymi palcami małych kowali z  
Nilfheimu nasz „Naglfar” trochę się

zmienia. Kil

i wręgi przypominają kręgosłup i łuki  
Ŝeber, przewody wiją się we wnętrzu  
jak nerwy i Ŝyły

Ŝywej istoty.

Jeszcze trochę i skończymy. „Naglfar”  
będzie gotowy. Poniesie ogień  
parszywemu,

nieudanemu światu. Koniec z  
niesprawiedliwością, koniec z płaczem,  
nędzą i rozpaczą. Koniec

czasów szaleństwa, bezwstydu i  
cudzołóstwa.

Jeszcze trochę.

Nadchodzi wiek topora, wiek miecza i  
tarcz strzaskanych.

Nadchodzi wilcza zamieć.

Jeszcze trochę.

Trzeba tylko paznokci. Więcej paznokci.

Na szczęście, to, czego wasz zgniły  
świat daje w nadmiarze, to właśnie  
trupie paznokcie.

I krew, która tak pięknie zapłonie w  
cylindrach naszych diesli. I niespełnione  
pośądanie, którym

moŜna naładować akumulatory.  
„Naglfar” moŜe się wykarmić tym,  
czego wasz świat ma w  
nadmiarze.

Trzeba tylko więcej paznokci.

Więc przepływamy Tęczowy Most i  
suniemy przez wody waszego świata.  
MoŜemy wynurzyć

się wszędzie tam, gdzie czyjeś  
szaleństwo kaŜe mordować innych bez  
powodu. Wynurzamy się i

zbieramy plon pychy szalonego mułły  
albo zwierzęcej nienawiści skaczących  
sobie do gardeł

warlordów lub opętanego ideologią tyra. Nawet ład nie jest dla nas przeszkodą.

Darfur, Srebrenica, pola pod Phenianem, Sierra Leone. Hawana.

Tyle miejsc. Tyle paznokci.

Opowiadają sobie o nas na morzach. O przeklętym U-Boocie z załogą upiorów. O kapitanie

w sztywnej od soli kurtce, o oczach jak ołów północnego morza. Wiedzą o nas marynarze tanich

bander i samotni Œeglarze. A takŒe załogi pięknych, kosztownych jachtów.



Ale rzadko mogą

podzielić się tą wiedzą. Krew,  
poŜądanie i paznokcie. Tyle nam trzeba.

Wracamy potem na WybrzeŜe Trupów i  
czekamy. Czujemy, Ŝe nasz czas się  
zbliŜa, ale wciąż

nic się nie dzieje.

Czekamy.

– JuŜ niedługo – mówi Loki. –

Nadejdzie nasz czas. Wkrótce zaszczeka  
Garm. Fenrir-wilk

zerwie łańcuchy i połknie słońce.

Wypłynie „Naglfar”. Przyjdzie wilcza

zamieć. Już niedługo.

Nadchodzi czas.

Niedługo.

*Napisał Grzędowicz Jarosław*